NAMIESTNIK CHRYSTUSA I KSIĄŻĘ ROZPUSTY

FAKTY PO MITACH

Nr 15 (291), 10 – 16 kwietnia 2026 r.



str. 3

GOD BLESS AMERICA!



DZIEWCZYNKA KSIĘDZA O.: Tylko głos na nagraniu został po dziewczynce z domu zakonnego w Lubinie, która miała paść ofiarą pedofilów... (Katarzyna Wilk-Wojtczak, str. 6)



OFIARA CZY POSIŁEK?: Niemal wszystko, co głosi Kościół rzymskokatolicki, oparte jest na wymysłach, spekulacjach i oczywistych kłamstwach... (Bolesław Parma, str. 8)

9 772719 530604 15

cena 11,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2719-5309 INDEX 434000

tygodnikfaktypomitach

faktypomitach.pl

eprasa.pl 9e8182a922

Akademia absurdu



Archeologia polityczna

Coś bardzo dziwnego dzieje się w stosunkach polsko-rosyjskich. Z lekka powiało w nich normalnością, co nie jest normalne. Dlatego też powinno niepokoić, bo normalność jest dla nas tak nienaturalna jak kiła u dziewicy.

Jerzy Urban tłumaczył mi kiedyś, że jak ktoś ma pecha, to może się zarazić syfilisem od wąchania róży. Nasza „klasa polityczna" pecha nie ma, bo padaka, w jakiej od lat znajduje się polska aktywność międzynarodowa, jest rezultatem jej intensywnej pracy. (Celowo nie używam słowa „polityka", bo takiej od lat nie prowadzimy). W sytuacji, w której nasz największy sojusznik, partner, protektor i okupant w jednym – USA – prowadzi wojnę z całym światem i uprzedza o możliwości opuszczenia przez siebie NATO, powinniśmy zacząć się mocniej bać. Z jednej strony, nieprzewidywalnego protektora, z drugiej – wroga, jakiego zdefiniowaliśmy sobie w postaci Rosji. Sprawa naprawdę zasługuje na uwagę, bo – jak się wydaje – nasz „zaufany sojusznik" świetnie dogaduje się z naszym wrogiem. W normalnych warunkach powinniśmy starać się o polepszenie relacji z Rosją. I tak się dzieje, co może świadczyć tylko o tym, że po krótkim okresie maciupeńkiej normalizacji nastąpi powrót na ścieżkę wojenną.

Znaki fałszu

Symptomy malutkiej normalizacji są już widoczne. W ubiegłym tygodniu przed kościołem św. M. Kolbego w Warszawie spłonął krzyż. „Papieski", bo przemawiał pod nim JPII, wzywając bliżej nieokreślonego ducha do zstąpienia na „tę ziemię". Zajął się najpewniej od zniczy, które wierni pod nim palili z okazji rocznicy śmierci papieża (choć dalibóg nie dokonał żywota pod tym krzyżem ani na nim). Jeszcze pół roku temu dowiedzielibyśmy się, że pożar był aktem terroru rosyjskiego GRU wymierzonym w pamięć/kulturę/wiarę/tradycję/historię Polaków. Pewnie przyznałby się do tego jakiś ukraiński kryminalista w zamian za obietnicę niższej kary za coś co naprawdę odwalił. A tu cisza o GRU… Podobnie jak cicho jest o wypalaniu przez rosyjski wywiad traw w Polsce i podpalaniu wysypisk śmieci. A przecież wszystko się fajczy jak zazwyczaj, GRU istnieje, Ukraińcy nie opuścili Polski, a ci z nich, którym nie po drodze z polskim prawem, dalej robią to, co robili.

Od początku roku skończyły się ataki mediów głównego nurtu na Rosyjski Ośrodek Nauki i Kultury (RONiK) w Polsce. Były one, bo *mainstream* nie mógł się pogodzić z faktem, że przychodzili tam ludzie chcący się uczyć j. rosyjskiego, poznać historię, literaturę czy poezję tego kraju. Nie jest to spowodowane zmianą nastawienia grupy polskich mediów do Rosji, lecz faktem, że od początku roku RONiK zawiesił swoją działalność, a dyrektorka placówki była zmuszona opuścić Polskę. Krótka była radość polskich decydentów ze świństewka zrobionego Rosjanom, bo zrozumieli, że podobny los może spotkać działający w Moskwie Instytut Polski, który jest przystanią dla mieszkających w Rosji polonusów. Rosjanie polskiej placówki nie zamknęli, bo nie przeszkadza im, że ktoś chce poznawać naszą kulturę.

Pojedynek na ambasadorów

Latem 2025 r. Polskę opuścił ambasador Rosji Sergiej Andriejew (obecnie kieruje placówką w Słowacji). Nie ma on jeszcze następcy, choć Rosjanie wyznaczyli go jeszcze w sierpniu ub.r. To zawodowy dyplomata Gieorgij Michno. Dlaczego nie przyjechał jeszcze do Warszawy? Rosjanie milczą, ale wiewiórki z polskiego MSZ szepczą, że rosyjski dyplomata nie otrzymał zgody polskich władz na objęcie kierownictwa placówki (*agrément*). Odmowy też nie dostał – ot tak, postanowiliśmy sobie pokpić z Rosjan wstrzymując się z ogłoszeniem zgody, którą ponoć Rosjanin w końcu dostał i niebawem przyjedzie do Warszawy. Gest dobrej woli? Nie – raczej świadomość, że Rosjanie mogą poprosić polskiego ambasadora o opuszczenie ich kraju; i zwlekać z *agrément* jego następcy. To zaś może być dość dokuczliwe, zważywszy że polski ambasador w Rosji Krzysztof Krajewski szykuje się do powrotu.

W tym bardzo uproszczonym obrazie nie widać bynajmniej poprawy stosunków między naszymi krajami, lecz tylko to, że nasza dyplomacja przestała ślepo kopać Rosjan. Sytuację tę interpretuję jako przygotowywanie się naszych dygnitarzy do wycięcia Rosjanom jakiegoś naprawdę potężnego świństwa. Mam dla nich jednak radę. Poczekajcie z tym jeszcze kilka tygodni. W tym czasie możecie ogłosić „wielki sukces polskiej dyplomacji", którego tak gorączkowo potrzebujecie, bo jak na razie wali się to, co latami budował R. Sikorski. Chętnie podpowiem, jak to zrobić.

Sztuka plucia

Jest coś, co poważnie dzieli nasze kraje. To sprawa prof. Aleksandra Butiagina, archeologa o międzynarodowej sławie i niekwestionowanym dorobku naukowym. Prywatnie to ciepły ujmujący człowiek, z ufnością traktujący innych. Pan ów od 4 grudnia 2025 r. gnije w Polskim areszcie. Co nam zrobił? Absolutnie nic! Skąd się zatem u nas wziął? Był przejazdem, w drodze na Bałkany. Dlaczego trafił za kraty? Ukraińcy nas o to poprosili. Dokładnie zaś o to, by go zatrzymać i deportować do Ukrainy. Co prof. Butiagin zrobił Ukraińcom? No, jest Rosjaninem, a to już wystarczający powód do zniszczenia mu życia.

Aleksandr Butiagin od 27 lat zajmuje się badaniami Mirmekionu – starożytnego greckiego miasta położonego na wschodzie Krymu. Wielokrotnie prowadził tam wykopaliska, jest bez wątpienia największym na świecie znawcą tego miasta. Za swoje odkrycia był wielokrotnie nagradzany przez cały archeologiczny świat jak i ukraińskie władze. Po aneksji półwyspu przez Rosję dalej prowadził badania, każdorazowo występując o zgodę na nie do władz administracyjnych. Rzecz w tym, że Ukraińcy nie uznają panowania Rosjan na Krymie i traktują prowadzone przez niego wykopaliska za nielegalne. Wyczekali, aż naukowiec będzie w Polsce i zażądali jego zatrzymania, a następnie wydania. Wiedzieli, co robią, czekając na obecność Butiagina w Polsce – inne europejskie państwa nie zniżyłyby się do takiej hucpy. Sprawa rosyjskiego archeologa trafiła do sądu. Ten, w pierwszej instancji orzekł o deportacji. Przyznam, że nie pamiętam, czy kiedyś jeszcze było mi tak wstyd za swój kraj, jak wtedy, kiedy to usłyszałem… Niebawem możemy się spodziewać rozstrzygnięcia sądu II instancji. Jakie będzie? Z pewnością polityczne; tak jak praktycznie odpuszczenie winy ukraińskim podpalaczom Centrum Marywilska 44 w Warszawie, czy uwolnienie ukraińskiego terrorysty winnego wysadzenia rurociągu Nord Stream 2.

Mam więc dla pana Sikorskiego propozycję: odpuśćcie rosyjskiemu naukowcowi w zamian za wolność przetrzymywanego w Białorusi Andrzeja Poczobuta. Oczywiście, nie potwierdzicie związku między tymi dwiema sprawami. Unikniecie też kolejnej kompromitacji, a na dodatek odnotujecie „sukces" i premier Tusk będzie mógł z dumą mówić o sprawstwie polskiego MSZ pod kierownictwem R. Sikorskiego.

Jak już Poczobut będzie na wolności, dalej będziecie mogli robić to, co wychodzi wam najlepiej: kompromitować się i pluć na innych.

Darek Cychol

FAKTY bez mitów

Grad krytyki z lewej i z prawej strony spadł na ministrę Jolantę Sobierańską-Grendę. Zarówno PiS, jak i partia Razem zapowiadają walkę o wotum nieufności dla szefowej resortu zdrowia. Lista zarzutów jest długa: zamykanie porodówek w mniejszych ośrodkach jako nierentownych oraz informacje o planowanym cięciu wydatków na diagnostykę i badania profilaktyczne – za którymi już poszły doniesienia o przekładaniu lub odwoływaniu badań. Przemysław Czarnek podsumował to krótko – wyrok śmierci na Polaków. Jeśli KO znowu da sobie przykleić łatkę bezdusznych liberałów, na wyborach w 2027 r. łatwo jej nie będzie.

***

Tymczasem senator KO Tomasz Lenz został właśnie antybohaterem innej powiązanej z ochroną zdrowia afery. Jak informuje Wirtualna Polska, 15 marca polityk pojawił się w szpitalu w Aleksandrowie Kujawskim razem z bliską osobą i zamiast na izbę przyjęć, tak jak robią to wszyscy pacjenci, ruszył na oddział chirurgii. Świadkowie opowiadają, że chwilę później w tym samym kierunku udali się lekarz i pielęgniarka anestezjologiczna. I tylko w dokumentacji o zabiegu dla bliskiej osoby polityka nie ma śladu. Szpital, którego dyrektor nie był 15 marca obecny w pracy, wszczął postępowanie wyjaśniające.

***

Ma kłopoty największa polska giełda kryptowalut. Jak donosi Money.pl, rezerwy bitcoinów w Zondacrypto spadły o horrendalnych 99 proc., a użytkownicy zgłaszają problemy z wypłatą pieniędzy. Kasy nie dostały też niektóre kluby sportowe oficjalnie sponsorowane przez giełdę. Prezes Przemysław Kral, jak zwykle w takich sytuacjach, tłumaczy się problemami technicznymi. My pamiętamy, że problemy techniczne miało też AmberGold czy niedawno Cinkciarz.pl. Pamiętamy też, jak Zondacrypto lobbowała przeciwko regulacji rynku kryptowalut i zyskała w tym temacie zrozumienie prezydenta Karola Nawrockiego.

***

Na apokalipsę szykują się migranci. Urząd do Spraw Cudzoziemców zapowiada odpalenie w najbliższych tygodniach w pełni elektronicznego systemu składania wniosków o pobyt czasowy, którego nie da się obsłużyć bez profilu zaufanego i w którym nie ma możliwości złożenia wniosku przez pełnomocnika. Ma być nowocześnie i szybko, tymczasem obrońcy praw migrantów alarmują, że efektem będzie wpędzenie w nielegalny pobyt uczciwie pracujących, ale nieznających języka i procedur ludzi. Dziesiątki tysięcy wniosków dotąd nie obsłużono, bo za wzrostem liczby cudzoziemców w Polsce nie idzie wzrost liczby urzędników.

A.S.

eprasa.pl 9e8182a922

Po co Leon XIV udał się do Monako?

Namiestnik Chrystusa i książę rozpusty



28 marca br. zapisał się w dziejach Watykanu wyjątkowo. Tego dnia papież odbył kilkugodzinną pielgrzymkę do Księstwa Monako.

Leon XIV jest dopiero trzecim – po Pawle III (w 1538 r.) i Piusie VI (w 1802 r.) – przywódcą Kościoła kat. odwiedzającym to mikroskopijne państwo. Przy czym ten drugi pojawił się w Monako przypadkiem i był już martwy. Wizyta Leona XIV w Monako wywołała powszechne zdumienie i liczne domysły, a poczytny francuski dziennik „Le Figaro" napisał, że była „owiana tajemnicą".

Wyznanie wiary

Monako jest krajem katolickim, a rządzący krajem książę Albert II Grimaldi kreuje się na oddanego sługę Pana. W rozmowie z katolickim „La Croix" monarcha stwierdził, że wiara jest „ważnym wymiarem jego tożsamości".

„Wiara nie podaje prostych odpowiedzi na złożone pytania. Uważam jednak, że stanowi ona niemalże wymóg. Zmusza mnie do zastanowienia się nad moimi decyzjami, do poszukiwania nie tylko tego, co skuteczne, ale także tego, co słuszne. Jest to wymóg osobisty: konieczność przestrzegania wartości, zobowiązań i priorytetów w relacjach z innymi, charakteryzujących się słuchaniem, solidarnością i życzliwością. W głębi serca mam nadzieję, że ta wizyta pozwoli pokazać to, co w nas najlepsze, i znacznie pomoże odkryć Księstwo w zupełnie nowym świetle. A może nawet wyjść poza utarte stereotypy" – prawił arystokrata.

Seks i konstytucja

Problem w tym, że Albert w codziennym życiu jest na bakier z dekalogiem i nie jest to stereotyp, a tylko wstawiennictwo Leona XIV u Trójcy Świętej może go uchronić przed piekielnym ogniem i wiecznym potępieniem. Otóż syn księcia Rainiera i aktorki Grace Kelly ma opinię wyjątkowego rozpustnika. Według plotek, jurny arystokrata miał 200 kochanek. Choć gustował w modelkach, sportsmenkach, piosenkarkach i aktorkach (m.in. romansował z Naomi Campbell, Claudią Schiffer i Sharon Stone) to w 2003 r. potomka o imieniu Alexander z nieprawego łoża urodziła mu Nicole Coste, pochodząca z afrykańskiego Togo stewardesa linii Air France. Para poznała się w 1997 r. w samolocie lecącym z Nicei do Paryża. Czarnoskóra piękność od razu wpadła księciu w oko. „Poprosił mnie o numer telefonu. Po kilku dniach zadzwonił i zaprosił do swojej posiadłości" – wspominała w jednym z wywiadów Coste. Ich utrzymywany w tajemnicy związek trwał prawie sześć lat.

Według stewardesy, Albert zerwał z nią na prośbę ojca, księcia Rainiera, który chciał, by znalazł sobie bardziej odpowiednią partnerkę. Ten jednak nie posłuchał ojca, bo Alexander został poczęty już po oficjalnym rozstaniu. „Kiedy dowiedział się, że jestem w ciąży, najpierw bardzo się ucieszył. Obiecał wsparcie. Jednak po kilku miesiącach jego entuzjazm opadł. Ojciec i doradcy wytłumaczyli mu, jak poważne konsekwencje będzie miało jego nieodpowiedzialne zachowanie" – mówiła Coste. Wściekły na syna książę Rainier zmienił wtedy konstytucję. Od 2002 r. władzę w księstwie mogą objąć tylko prawowici potomkowie jego syna i dwóch córek – Karoliny i Stefanii.

Podryw na jacht

W 2006 r. francuskie media podały, że Albert uznał ojcostwo 14-letniej amerykanki Jazmin Grace. Dziewczyna była owocem wakacyjnego romansu, w który Albert wdał się z przebywającą na Lazurowym Wybrzeżu ekskelnerką z Kalifornii Tamarą Rotolo. Atrakcyjną amerykankę Albert wyrwał w 1991 r. podczas turnieju tenisowego w Monako. Zaprosił ją na rejs jachtem, potem na przyjęcie w pałacu, a później do sypialni. Po powrocie do USA Tamara regularnie kontaktowała się z księciem, a wkrótce okazało się, że jest w ciąży.

Albert zapadł się pod ziemię i o dziecku przypomniał sobie, gdy porzucona kochanka poszła do mediów. Nadworny prawnik Thierry Lacoste utrzymywał, że książę w trosce o dobro dziecka chciał ukrywać swoje ojcostwo do chwili osiągnięcia przez dziewczynkę pełnoletności.

Smutna księżna

W 2011 r. Albert poślubił Charlene Wittstock pochodzącą z Zimbabwe pływaczkę, która reprezentowała RPA na igrzyskach olimpijskich w Sydney. Z tego związku w 2014 r. urodzili się Gabriela i Jakub. Charlene nazywana jest najsmutniejszą księżną świata. Według doniesień prasy bulwarowej, Charlene kilka dni przed ślubem dowiedziała się o kolejnym dziecku Alberta. Dała nogę, ale została zatrzymana przez policję na lotnisku w Monako (w innej wersji w Nicei). Funkcjonariusze działali na polecenie księcia i odwieźli ją z powrotem do pałacu. Już po ślubie z Charlene kilka kobiet publicznie twierdziło, że Albert jest ojcem ich dzieci, co pogłębiło kryzys w małżeństwie i przyczyniło się do pogorszenia samopoczucia księżnej.

Podobno Albert nie mógł dochować wierności, a w latem 2023 r. plotkarskie portale obiegła sensacyjna wiadomość, że księżna miała już wszystkiego dosyć i po 12 latach pożycia wyprowadziła się do Szwajcarii. Doniesienia te zbiegły się ze skandalem w najbliższym otoczeniu Alberta. Zarzuty dotyczące oszustw i korupcji usłyszeć mieli: Thierry Lacoste (prawnik księcia), Claude Palermo (zarządca książęcego majątku), Laurent Anselmi (szef gabinetu) i Didier Linotte (prezes Sądu Najwyższego). Nie obciążyli oni swojego chlebodawcy, choć dziennikarze snuli domysły, że przestępczy proceder nie mógł się odbywać poza wiedzą księcia.

Pieniądze, sztuka, FSB

Warto wspomnieć o jeszcze jednej aferze z 2017 r. Wtedy do dymisji podał się zaufany człowiek Alberta, minister sprawiedliwości Monako Phillippe Narmino, który wykorzystując swoją pozycję miał zakulisowo wspierać rosyjskiego oligarchę Dmitrija Rybołowlewa. O Rybołowlewie zrobiło się głośno w 2008 r., gdy w niejasnych okolicznościach kupił za 95 mln dol. od Donalda Trumpa posiadłość na Florydzie. W 2011 r. Rosjanin nabył większościowy pakiet akcji klubu piłkarskiego AS Monaco i stał się wspólnikiem rodziny Grimaldi, która miała pozostałą część akcji. Rybołowlewa aresztowano w 1996 r. pod zarzutem zlecenia zabójstwa. Z aresztu wyszedł po 11 miesiącach, a jego opiekunem i partnerem w interesach został generał FSB Siergiej Jeżubczenko. Panowie zbili majątek m.in. na produkcji nawozów.

Rosyjski oligarcha zyskał międzynarodową sławę skupując dzieła sztuki. W jego kolekcji znajdowały się m.in. obrazy Picassa, Gauguina, Modiglianiego, Matisse'a, Van Gogha, Leonarda da Vinci. W zakupach arcydzieł pomagał Rosjaninowi znany szwajcarski marszand Yves Bouvier. Dżentelmeni pokłócili się, a Rybołowlew oskarżył Bouviera, że ten dwukrotnie zawyżał cenę dzieł sztuki, na które rosyjski oligarcha wydał ok. 2 mld dol. Wkrótce po tym, policja w Monako zatrzymała marszanda. Oskarżono go o oszustwo i pranie pieniędzy. Okazało się jednak, że cała akcja została wyreżyserowana, a działania wymiaru sprawiedliwości wynikały z bliskich relacji ministra sprawiedliwości Monako z oligarchą. Według doniesień medialnych, Rybołowlew był też w bliskich kontaktach Albertem. Czy książę brał udział w spisku przeciwko marszandowi – tego nie potwierdzono.

Pożądanie i klątwa

Skoro nawet znawcy Kościoła kat. i Watykanu nie wiedzą, po co Leon XIV udał się do Monako (pomimo zaproszeń nie pojechali tam Jan Paweł II, Benedykt XVI i Franciszek), to sprawa jest poważna. Oprócz spotkania z nielicznymi wiernymi na Stadionie Ludwika II papież rozmawiał z Albertem i Charlene podczas prywatnego spotkania w pałacu. Być może w trosce o najmniejsze katolickie państwo podczas ceremonii w pałacowej kaplicy zdjął klątwę z rodu Grimaldi. Według legendy, praprzodek księcia Monako Rainier I Grimaldich ściągnął na swoją rodzinę nieszczęście, gdy porwał dziewicę z Flamandii. Zrobił to jedynie po to, żeby zaspokoić swoje niecne żądze. Pohańbiona niewiasta w ramach zemsty rzuciła klątwę na jego ród. Od tamtego momentu żadne małżeństwo z rodu Grimaldi miało nie zaznać szczęścia.

Czyżby więc papież został prywatnym egzorcystą księcia? Niewykluczone, bo Albert II jest uznawany za jednego z najbogatszych europejskich monarchów (obok władców Liechtensteinu i Luksemburga), a pieniądze są bardziej ekumeniczne niż słowo boże...

Andrzej Sikorski

eprasa.pl 9e8182a922

WIARA CZYNI CZUDA

W. Brytania: sekta pod lupą

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych prowadzi dochodzenie wobec firmy powiązanej z Ahmadyjską Religią Pokoju i Światła (AROPL).

Dochodzenie dotyczy firmy AROPL Studios, powiązanej z ruchem religijnym AROPL. Chodzi o podejrzenia nadużywania systemu wiz pracowniczych podczas sprowadzania członków wspólnoty do kraju pod pretekstem zatrudnienia. Podobne zarzuty wobec sekty pojawiły się wcześniej w Szwecji, gdzie filie firmy uznano za nierzetelnych pracodawców, a część zatrudnionych tam osób deportowano. Wspólnota odpiera zarzuty, twierdząc, że działa legalnie i pada ofiarą dyskryminacji religijnej. Wierzenia członków AROPL łączą założenia islamu z teoriami spiskowymi na temat Iluminatów i obcych kontrolujących prezydentów USA. Wyznawcy wierzą, że ich przywódca Abdullah Hashem może wyleczyć chorych i sprawić, że… księżyc zniknie.

Belgia: buntownik w sutannie

Biskup Antwerpii Johan Bonny zapowiedział, że do 2028 r. chce w swojej diecezji dopuścić do święceń kapłańskich żonatych mężczyzn. Obecne prawo kanoniczne tego zabrania.

W 11-stronicowym liście pasterskim hierarcha wskazał, że temat święceń żonatych mężczyzn był obecny podczas synodu o synodalności w Watykanie w latach 2023-2024, jednak ani papież Franciszek, ani autorzy dokumentu końcowego nie poparli zarówno święceń, jak i zmian w prawie kanonicznym. Mimo to Bonny podkreślił, że w debatach synodalnych kwestia ta regularnie powraca, a jego zdaniem poparcie dla niej jest szerokie, szczególnie wśród najbardziej zaangażowanych wiernych. Jak zaznaczył, „kwestia nie brzmi już, czy Kościół może wyświęcać żonatych mężczyzn na księży, ale kiedy to zrobi i kto to zrobi. (…) Każda zwłoka jest postrzegana jako wymówka”.

USA: pokrzywdzeni przestępcy

Księża katoliccy twierdzą, że oskarżenie ich o wykorzystywanie seksualne narusza ich wolność religijną.

Dwóch księży z diecezji St. Cloud w Minnesocie zostało oskarżonych o seksualne wykorzystywanie kobiet, którym mieli udzielać wsparcia duchowego. Ks. Joseph Herzing miał przez kilka lat prowadzić relację, która z czasem stała się seksualna i przemocowa. Natomiast ks. Aaronowi Kuhnowi zarzuca się wielokrotne wykorzystanie kobiety w trudnej sytuacji. Oskarżenia bazują na przepisach stanowych, które zabraniają kontaktów seksualnych osób sprawujących władzę nad innymi, nawet jeśli obie strony są dorosłe i teoretycznie wyrażają na to zgodę. Obrońca obu duchownych twierdził, że karanie ich narusza wolność religijną i że odpowiedzialność za relację ponosi także kobieta. Ciekawe, że mimo wielu podobnych doświadczeń na salach sądowych Kościół nadal stosuje taktykę jawnego obwiniania ofiar.

Grecja: przekręt na biskupa

Dwóch byłych już duchownych zostało skazanych na karę więzienia za oszustwa na kwotę 1,5 mln euro.

Oszustwa, pranie brudnych pieniędzy, udział w organizacji przestępczej, a także fałszerstwo i wykorzystanie podrobionych dokumentów – to za te przestępstwa sąd skazał na karę 12,5 roku więzienia 70-letniego byłego archimandrytę i 63-letniego byłego już księdza. W latach 2018-2023 zbierali wśród swoich wiernych pieniądze i przekonywali ich, że archimandryta ubiega się o stanowisko metropolitalnego biskupa Salonik. Na dowód swoich słów panowie pokazywali wiernym podrobione listy z archidiecezji Aten, Patriarchatu Ekumenicznego i Komisji Europejskiej. Kiedy przekręt wyszedł na jaw, obaj stanęli przed sądem. Ksiądz tłumaczył, że pełnił tylko rolę pośrednika. Nie pomogło. Oprócz długiej odsiadki obaj muszą zapłacić po 20 tys. euro grzywny.

Włochy: kwadrat papieża

W Rzymie za 30 milionów euro wystawiono na sprzedaż kamienicę, w której mieszkał Karol Wojtyła.

Historyczny pałac z kościołem i prywatnym ogrodem na sprzedaż” – takie ogłoszenie wystawiła jedna z rzymskich agencji nieruchomości zajmująca się sprzedażą luksusowych i zabytkowych obiektów. Dawna siedziba Papieskiego Kolegium Belgijskiego ma 6 kondygnacji, 40 pokojów i należy do prywatnego właściciela. Budynek znajduje się w centrum Wiecznego Miasta. To tam w latach 1946-1948 mieszkał ksiądz Karol Wojtyła. Przyszły papież studiował wtedy na Papieskim Uniwersytecie Angelicum. Według ekspertów, elegancki, bogato wyposażony i zdobiony gmach stanowi syntezę czterech stuleci europejskiej historii religijnej i politycznej. Wojtyła jest wabikiem na potencjalnych kupujących. Ciekawe, czy po wydaniu 30 mln euro dostaną gratis chociaż jedną kremówkę?



fot. Facebook / Screenshot

Niemcy: kardynał o krok dalej

Na jeszcze odważniejszy pomysł wpadł kardynał Jean-Claude Hollerich, który stwierdził, że „nie wyobraża sobie” długotrwałego przetrwania Kościoła bez dopuszczenia kobiet do posługi kapłańskiej.

Nie mogę sobie wyobrazić, jak Kościół mógłby istnieć na dłuższą metę, skoro połowa wiernych cierpi z powodu braku dostępu do posługi kapłańskiej” – powiedział kardynał podczas sympozjum w stolicy Niemiec. Konferencja – podobnie jak niedawne wystąpienia kard. Hollericha w Krakowie – dotyczyła synodalności i reformy kurii. Duchowny przekonywał, iż dopuszczenie kobiet do święceń „nie jest jedynie postulatem niektórych lewicowych organizacji feministycznych. (…) Kiedy rozmawiam z kobietami w parafiach, 90 procent podziela moją opinię” – zapewniał. Ostrzegł, że w niektórych częściach świata debata jest traktowana ze sceptycyzmem lub obojętnością, wskazał, że dla duchownych spoza Europy Zachodniej jawi się ona jako „sztuczny problem”. Czyżby miał na myśli Polskę? Przecież możliwość święcenia kobiet została jednoznacznie wykluczona przez Jana Pawła II.

Nowa Zelandia: wyrok na księdza

Były ksiądz anglikański Jonathan Kirkpatrick został uznany za winnego seksualnego wykorzystania 18-latka.

Skrzywdzony w wieku 18 lat mężczyzna na sprawiedliwość musiał czekać aż 30 lat. Ksiądz podstępem zwabił go do swojego domku nad jeziorem w Canterbury, upoił alkoholem i zgwałcił. W chwili przestępstwa ksiądz był wikariuszem w parafii św. Michała i Wszystkich Aniołów w Christchurch. Duchowny nawiązał wcześniej kontakt z chłopakiem, zdobywając jego zaufanie zwierzeniami o swoim homoseksualizmie. To jednak niejedyny jego grzech. Kirkpatrick w 2011 r. został skazany za kradzież ponad 665 tys. dolarów z Uniwersytetu Technologicznego w Auckland, gdzie wówczas pracował.

Francja: lżejsza kara dla „zbereźnika”

Założyciel Misji św. Teresy z dożywotnim zakazem sprawowania funkcji kapłańskich. Został uznany za winnego profanacji i nakłaniania podczas spowiedzi do zwierzeń o charakterze intymnym.

Znany francuski duchowny ksiądz Bruno Thévenin w roku 2024 został uznany za winnego przez sąd archidiecezji paryskiej i skazany na usunięcie ze stanu duchownego oraz ekskomunikę. W ubiegłym roku duchowny złożył do Dykasterii Nauki Wiary apelację od tego wyroku. Dopiero teraz kolegium ogłosiło decyzję w tej sprawie. Podtrzymało karę, ale w innej formie. Na księdza nałożono dożywotni zakaz sprawowania sakramentów, wykonywania funkcji kapłańskich, noszenia stroju duchownego i przedstawiania się jako ksiądz. Duchowny sprofanował eucharystię. Nie ujawniono w jaki sposób, wiadomo jednak, że używał Najświętszego Sakramentu w sposób uznany za świętokradczy. W czasie spowiedzi nakłaniał młodych penitentów do zwierzeń o bardzo intymnych, osobistych sprawach.

eprasa.pl 9e8182a922

POLETKO PANA B.©

KOMU ODBIJA PALMA

Wyrażam zdecydowany sprzeciw wobec braku zgody na odprawienie Mszy Świętej w Bazylice Grobu Pańskiego w Jerozolimie. Słowa wsparcia kieruję do łacińskiego patriarchy Jerozolimy i wszystkich chrześcijan zamieszkujących w Ziemi Świętej. Niedziela Palmowa rozpoczyna Wielki Tydzień, a chrześcijanie przygotowują się do zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Działania izraelskiej policji, które potępiam, są wyrazem braku szacunku wobec tradycji i kultury chrześcijańskiej" – ogłosił na X Karol Nawrocki po polsku i angielsku. Podczas gdy Izrael bombarduje Iran i Liban południowy, kładąc trupem tysiące ludzi, nasz wzorowy chrześcijanin martwi się tylko tym, że łaciński patriarcha – ach, co za nieszczęście! – nie mógł odprawić tradycyjnej mszy. Trumpa, który razem z Netanjahu rozpętał tę wojnę, Nawrocki w Teksasie nazwał z podziwem „wielkim wojownikiem". Kazał też udekorować dziedziniec Pałacu Prezydenckiego okazałymi palmami wielkanocnymi. TU MIESZKAJĄ CHRZEŚCIJANIE.

TOR PRZESZKÓD

Już się wydawało, że wyrok Naczelnego Sądu Administracyjnego w sprawie polskiej transkrypcji unijnych aktów małżeństwa jednopłciowego zostanie wykonany. Od dawna przecież Ministerstwo Cyfryzacji z Krzysztofem Gawkowskim z Lewicy na czele ma gotowy projekt zmiany rubryk w tym dokumencie: zamiast „mąż", „żona" – „małżonek 1", „małżonek 2". Logiczne, łatwe, proste. Ale, jak informuje OKO.press, blokują to świętoszkowaci ministrowie! Władysław Kosiniak-Kamysz odrywa się od palących problemów MON, by zaznaczyć, że nie rozumie, dlaczego mają zniknąć pojęcia „mąż" i „żona". Przeszkody mnoży też MSWiA pod wodzą platformersa Marcina Kierwińskiego: obawia się „turystyki ślubnej" i „małżeństw weekendowych". Ten pokaz tchórzostwa i impotencji politycznej może przerwać tylko premier. Brawo dla ZUS, który wydał przełomowy komunikat, że będzie traktować małżeństwa jednopłciowe na równi z innymi, uznając ich prawo do zabezpieczenia społecznego.

NAMIOT I PAŁAC

Głośnym echem odbiła się rozmowa kardynała Konrada Krajewskiego z reporterem TVN24. Zapytany, jak wieloletnie doświadczenie jałmużnika czterech papieży wpłynie na jego nową rolę metropolity łódzkiego, Krajewski wypalił, chyba dość spontanicznie: „Proszę zobaczyć, jaki jest dom biskupa, a biedni jedzą pod namiotem. To się musi zmienić. Ja mogę jeść tam, ale oni przyjdą do pałacu. Szczęść Boże". (Pod namiotem, w warunkach polowych, instytucje i organizacje kościelne wydają posiłki dla ubogich.). „Te słowa to potężny policzek wymierzony w bizantyjski styl życia niektórych duchownych w naszym kraju" – ocenia naTemat.pl. „Niektórych duchownych" czy raczej „wszystkich hierarchów"? Oj, naraził się kardynał kolegom biskupom...

RYŚ Z PEJSAMI

Pedagogika katolicka" – którą Czarnek jako minister wywindował do pierwszej ligi czasopism naukowych – zamieszcza zdjęcie kard. Grzegorza Rysia z doklejonymi pejsami i gwiazdą Dawida. Antysemickie katolstwo ma mu bowiem za złe, że przewodniczy Komitetowi ds. Dialogu z Judaizmem i był jednym z sygnatariuszy listu Konferencji Episkopatu Polski w 40. rocznicę wizyty Jana Pawła II w rzymskiej synagodze, co miało służyć pojednaniu ze „starszymi braćmi w wierze". W liście są poczciwe banały: że antysemityzm to grzech, że chrześcijaństwo i judaizm łączy więź duchowa, a w Wielkim Tygodniu warto odwiedzić synagogę. Rysia zalała fala hejtu. Katole nazywają go gorszycielem, sprzedawczykiem żydowskim i jeszcze gorzej. Jak widać, nauki JPII słabo się przyjęły wśród jego czcicieli.



DZIEŁO BOŻE

Przekazałem papieżowi Leonowi XIV setki stron dokumentów opisujących nadużycia w Opus Dei" – mówi Magdalenie Rigamonti z Onetu Gareth Gore, autor książki „Opus Dei. Brudne pieniądze, handel ludźmi i skrajnie prawicowa organizacja kościelna". Opus Dei infiltruje ważne instytucje, np. największy hiszpański bank. Rekrutuje polityków, biznesmenów, dziennikarzy. „Ofiary są urabiane od najmłodszych lat, to 10-, 11-letnie dzieci. Są one zapraszane na spotkania klubów Opus Dei, na wyjazdy, na obozy. I powoli zaczyna się odcinanie od rówieśników, od bliskich... Efektem urabiania jest całkowite podporządkowanie się organizacji. W wieku 18 lat składa się śluby i formalnie dołącza do Opus Dei, i staje się sługą, niewolnikiem" – mówi Gore. Te praktyki wprowadził założyciel organizacji, uznany za świętego Josemaria Escrivá. Autora książki zaprosił papież Leon XIV, rozmawiał z nim 40 minut. Żeby go uspokoić czy wszcząć dochodzenie? Do Opus Dei należą, według Wikipedii, Marcin Romanowski (dziś na Węgrzech), Jadwiga Emilewicz, Kazimierz Michał Ujazdowski, Przemysław Wipler, Roman Giertych.

CZARY-MARY

W katedrze opolskiej ponad 30 osób zobowiązało się do duchowej adopcji dziecka poczętego, składając stosowne przyrzeczenie na ręce biskupa Waldemara Musioła. Taki rodzic nie ma ciężkiej pracy. Musi tylko przez 9 miesięcy codziennie odmawiać jedną tajemnicę różańca i specjalną modlitwę w intencji płodu. Do modłów można dołączyć dowolnie wybrane „dobre postanowienia", np. wstrzymać się od picia alkoholu. Jeśli się wstrzymasz, poczęte gdzieś w Polsce cudze dziecko szczęśliwie przyjdzie na świat. Czy jednak duchowy rodzic adopcyjny nie osiągnąłby więcej, gdyby – sam lub z innymi duchowymi rodzicami – realnie pomógł ciężarnej, która jest w trudnej sytuacji życiowej? Opolska trzydziestka pod wodzą biskupa mogłaby ufundować jej utrzymanie przez rok!

JASZCZUR POSKROMIONY

Na spotkaniu w Warszawie Wojciech „Jaszczur" Olszański, wystrojony w operetkowy mundur Kamratów, zaatakował Jana Pawła II za to, że w roku 1966 podpisał się pod słynnym orędziem biskupów polskich do niemieckich („Przebaczamy i prosimy o przebaczenie"). Kręgi kamracko-naziolskie widzą w tym kompromitujące „płaszczenie się przed Niemcami". „Jan Paweł II nigdy nie był świątobliwym Polakiem" – wypalił Olszański. Gdy zaprotestowała jedna z uczestniczek spotkania, ryknął na nią jak Nawrocki na Półchłopka: „Zamilcz, kobieto! Zamilcz!". Sam jednak wkrótce musiał zamilknąć, gdyż prowadząca spotkanie polityczka Korony wezwała na odsiecz ochroniarza Brauna, byłego boksera Dariusza Sierheja. Ma on tak przerażający wygląd, że wystarczyło, by stanął obok „Jaszczura", a ten ucichł. Scysję zakończył Grzegorz Braun, tłumacząc, że Wojtyła wprawdzie podpisał się pod orędziem biskupów, ale nie odegrał wtedy „wiodącej roli".

GRZECH MAŁŻEŃSKI

Super Express" objaśnia kościelne normy dotyczące pożycia małżeńskiego i ostrzega, że ich złamanie „może zostać potraktowane jako grzech śmiertelny, nawet w zalegalizowanym związku". W okresie spowiedzi wielkanocnej – jak znalazł. Katalog zakazanych praktyk nie jest długi: celowe unikanie ciąży poprzez stosowanie sztucznych metod antykoncepcji; oddzielanie aktu intymnego od jego pierwotnego przeznaczenia w postaci przekazywania życia; wszelkie zachowania prowadzące do uprzedmiotowienia męża lub żony (nie bardzo wiadomo, o co w tym punkcie chodzi); wymuszanie stosunku oraz ignorowanie braku zgody drugiej strony; skupianie się wyłącznie na własnych potrzebach i odrzucanie dobra małżonka. „A księżulo z księżulem + wynajęty striptizer wszystko mogą" – komentuje celnie Bożena S. w facebookowej grupie „Mam gdzieś Polskę katolicką, chcę Polski europejskiej".

eprasa.pl 9e8182a922

Dziewczynka księdza O.

Tylko głos na nagraniu został po dziewczynce z domu zakonnego w Lubinie, która miała paść ofiarą pedofilów.

W 2022 r. policja przeszukała komputer byłego już dyrektora Salezjańskiej Szkoły Podstawowej w Lubinie (woj. dolnośląskie) ks. Grzegorza O. Między zdjęciami ze szkolnych wycieczek znaleziono 146 plików z pornografią dziecięcą. Wiele z nich nazwanych było polskimi imionami. Zabezpieczone materiały okazały się tak brutalne, że nawet przywykli do przemocy policjanci nie mogli ich oglądać. Za ich posiadanie dobrodziej odsiedział 10 miesięcy w więzieniu.



Najbardziej wstrząsający wątek śledztwa nie został jednak nigdy rozwiązany. Dotyczy dziewczynki, której poszukiwania trwały niemal trzy lata. Śledztwo w tej części zostało umorzone. Teraz reporter Gońca.pl dotarł do wielu wstrząsających nagrań znajdujących się w aktach tej sprawy.

Wujek O.

Dziennikarz Daniel Arciszewski przekonuje, że w czerwcu 2022 r. w domu salezjańskim w Lubinie przetrzymywana była mała dziewczynka, a ks. Grzegorz O. udostępniał ją pedofilom. 13 czerwca 2022 r. – dwa miesiące przed zatrzymaniem salezjanina – inny zakonnik i katecheta Karol K. usłyszał w środku nocy z pokoju jego szefa głos małej dziewczynki.

Dźwięk rozmowy niósł się rurą centralnego ogrzewania, do której Karol K. przyłożył iPhone'a i nagrał tę rozmowę.

„Wujkowi się bardzo podobasz i wujek się chętnie tobą zajmie i wsadzi ci ku**a do c**ki a potem mu zrobisz l**da, zrobimy tak, jak spotkamy się w czwartek wieczorem?" – przytacza fragment tej rozmowy Goniec.pl.

Karol K. nie wszedł jednak do pokoju ks. Grzegorza O., aby ratować dziecko. Nie poinformował przełożonych i nie zgłosił się na policję – ani tamtej nocy, ani kolejnego ranka. Wybrał milczenie.

Strategia pedofilów

20 czerwca 2022 r. w ten sam sposób K. nagrał 42-minutową rozmowę dwóch mężczyzn. Jeden z nich został zidentyfikowany przez biegłych sądowych jako ks. Grzegorz O. i oznaczony w aktach jako M2; drugi figuruje tam jako M3. Rozmawiają oni m.in. o samotnym ojcu ze Śląska, który ma do przekazania „na seks" dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Do spotkania ma dojść już następnego dnia.

„(M2): No byłoby zajebiście.

(M3): No słuchaj, zajebiście, nie? Ale różnie bywa. Ja też się nauczyłem, że podchodzę do tematu, że jak jutro nie wypali, to wiesz, to od razu zamykam temat z gościem, równie dobrze może coś wypaść.

(M2): A nie no to ok tylko czy w ogóle wiesz ten gościu jest realny czy też wiesz jakiś bajkopisarz nie, może nie ma tych dzieci, wiesz kurwa.

(M3): Ma, ma udowodnił mi to w taki sposób, że jestem pewny.

(M2): Jeżeli tak, no to git, no a te dzieciaki one chcą, czy zmuszane są?

(M3): Nie, chcą, a on od małego ćwiczył, że tak powiem.

(M2): No ale dupczyć je, czy tylko takie macanie.

(M3): Nie, no wszystko nie.

(M2): No to, to by było git, to to by było git".

W protokole oględzin materiałów znalezionych przy Grzegorzu O. w grudniu 2022 r. policja napisze: „Filmy *Rape* trwający 18 sekund oraz *Zuzia* trwający 43 sekundy, przedstawiają gwałcone, krzyczące z bólu dzieci". Ze względu na drastyczność i liczbę takich filmów, jak napisze aspirant M.K. z Komendy Powiatowej Policji w Lubinie, odstąpi on od próby obejrzenia ich wszystkich. Ten sam policjant nigdy nie odsłucha do końca nagrania z 20 czerwca, w którym omawiano nie tylko szczegóły spotkania kolejnego dnia, ale i strategie do pozyskiwania nowych ofiar w środowisku pedofilskim.

„(M3): Jest u mnie w mieście taka właśnie patorodzinka, dzieci w wieku dziewięć lat i siostra jedenaście… Ta matka, jak zobaczy flaszkę, to jej przesłoni cały świat, nie?

(M2): Flaszka flaszką, ale czy da, nie?

(M3): A pijana jak się włóczy po sklepach nocą, wiesz… (niezrozumiałe).

(M2): To jest tylko matka? Nie ma starego?

(M3): No dokładnie.

(M2): To łatwiej…

(M3): No dokładnie.

(M2): A ten co… Tamten jest z Chorzowa co te dwoje, to co on? On da, czy co? (…)".

Śledztwo z problemami

Według akt sprawy, dopiero 5 lipca 2022 r. katecheta Karol K. poinformował o nagraniach zakonnego psychologa. Potem zadzwonił do ks. Bartłomieja Polańskiego, inspektora Inspektorii Wrocławskiej Towarzystwa Salezjańskiego. Pięć dni później ks. Polański poinformował ks. Piotra Lorka, który u salezjan pełni funkcję inspektora ds. ochrony małoletnich. Ks. Lorek wrócił z urlopu i 12 lipca spisał zeznania Karola K. Dopiero 18 lipca 2022 r. przekazał Prokuraturze Rejonowej w Lubinie „zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa na szkodę osoby małoletniej". W międzyczasie zniknęła istotna część nagrań z kamer monitoringu w domu zakonnym w Lubinie. Z nocy, gdy nagrano dziewczynkę, zachowały się zdjęcia wyłącznie z jednej kamery, które nic nie wniosą do sprawy. Nie tylko te nagrania zniknęły.

Nie dało się również odczytać zawartości jednego z twardych dysków Grzegorza O., którego całkowite zniszczenie bez pozostawienia fizycznych śladów stwierdził biegły legnickiego sądu okręgowego Tomasz Jagieło. Z kolei na innym dysku (laptop) biegły odnalazł liczne ślady po usuniętych filmikach z tytułami sugerującymi gwałcenie i torturowanie dzieci. Biegły ustalił tylko, że takie pliki odtwarzano. Wielokrotnie. Do tego w zgłoszeniu ks. Lorek ma próbować ukrywać obecność dziewczynki w domu zakonnym: „Grzegorz O. mógł dopuścić się obcowania z osobą małoletnią poniżej 15 lat. (…) Karol K. opiera doniesienie złożone stronie kościelnej na dwóch osobiście słyszanych rozmowach, które ksiądz Grzegorz O. miał prowadzić z jakimś innym dorosłym mężczyzną. (…) Karol słyszał w swoim pokoju głos z głośników i głos księdza O. na żywo. (…) W rozmowie poruszono kwestie związane ze spotkaniem z jakąś osobą małoletnią w celach seksualnych" – cytuje akta Goniec.pl.

Katarzyna Wilk-Wojtczak

Jaga – Jezus 1:0

Tego jeszcze nie grali. Metropolita białostocki abp Józef Guzdek uległ presji kibiców Jagiellonii Białystok i celebrację Wielkiej Soboty 4 kwietnia, z tradycyjnych godzin nocnych, przełożył w jednym z kościołów na godzinę 17.

Okazało się bowiem, że tego samego dnia, tyle że o godzinie 20.15, zaplanowano w Białymstoku mecz Jagiellonii z Lechem Poznań i zamiast kościołów naród wybrał piłkę nożną. Niewykluczone też, że ktoś wpływowy mógł na dostojnika skutecznie nacisnąć. Kto to był? Nie wiemy, ale wygląda na to, że Guzdek ma pełną świadomość, że dał ciała i spora część wiernych raczej mu tego nie zapomni. Ratując się przed marketingową kompromitacją, biuro prasowe kurii biskupiej wysmażyło komunikat w jego obronie:

„(…) W tym roku – także w czasie Triduum Paschalnego – wierni zwrócili się z prośbą, aby w Wielką Sobotę, w jednym z kościołów Białegostoku sprawowana była



liturgia paschalna o godz. 17.00. Ze względu na szczególny charakter celebracji Wigilii Paschalnej w Wielką Noc, Mszał Rzymski wyraźnie wskazuje, że należy ją sprawować po zapadnięciu zmroku. Mając jednak świadomość, że duża liczba wiernych zostałaby pozbawiona możliwości uczestnictwa w tej celebracji, abp Józef Guzdek, metropolita białostocki, opierając się na przepisach prawa kanonicznego i korzystając z przysługującej mu władzy udzielania dyspensy dla dobra duchowego wiernych (kan. 87 § 1 KPK) przychylił się do ich prośby i pro hac vice (z łac. w tym przypadku) zezwolił na celebrację Liturgii Wigilii Paschalnej o godz. 17.00 w jednym z kościołów białostockich" – pisze ks. Jarosław Jabłoński, p.o. rzecznik prasowy archidiecezji białostockiej.

I na koniec grzecznie, żeby broń Boże nie urazić fanów piłki kopanej, dodaje: „Jednocześnie Metropolita Białostocki zwraca się do organizatorów wydarzeń sportowych, aby w przyszłości, planując je, uwzględnili potrzeby duchowe i religijne osób w nich uczestniczących, szczególnie w czasie Świąt Wielkanocnych oraz Bożego Narodzenia".

Uwzględnią? Albo tak, albo nie. W każdym razie precedens już jest.

Wacław Jerzy Koniecpolski

eprasa.pl 9e8182a922

O zamianie klusek w kasę



Padłam na kolana i tak już zostałam. Maria, matka boża, cudownie rozmnożyła kluseczki!

Przyznacie, że to naprawdę zadziwiające, bo dlaczego właśnie gnocchi, włoskie kluseczki przygotowywane na bazie mąki, ziemniaków i jaj? Czy chodziło o któryś składnik? Jeśli o jaja, dlaczego nie rozmnożyła samych jaj? I dlaczego nie mogła naprodukować pierogów z kapustą i grzybami? Jeśli mają Państwo jakieś wątpliwości co do boskości tego cudu, to chętnie je rozwieję. Otóż matka boska rozmnożyła nie tylko gnocchi, ale i królika, i pizzę! Jeżeli zaś rzecz dotyczy pizzy, to dalsze powątpiewania tracą sens.

Cuda głodu wiedzy

Mamy więc taką oto sytuację. W niedużej mieścinie Trevignano Romana we Włoszech od 2016 r. matka boska płacze krwawymi łzami. Dokładnie zaś jej posąg, który otoczono nawet szkłem. I dobrze, bo jak jest coś świętego i wielkiego, to trzeba chronić, a nie wystawiać na pastwę wiernych jak w Warszawie krzyż „sami wiecie czyj...". Więc posąg płaczący krwawymi łzami czyni cuda. Opiekuje się nim Gisella Cardia, która nie tylko widziała tę wydzielinę, ale i nawiązała kontakt z bogiem, który zaczął jej przekazywać wiadomości dla ludzkości. Reszta była naturalną konsekwencją tego, co się stało: ludzkość, pchając się do boskiej wiedzy, głodniała, stąd rozmnożenie gnocchi. I nie ma co drążyć, dlaczego akurat kluski się rozmnożyły, bo niby co miało się rozmnożyć, burgery z McDonalds'a, pikantne skrzydełka z KFC czy kebab od Turka?

Jeszcze macie wątpliwości? Ach, ci ateiści... No więc przyjmijcie do wiadomości, że rozmnożenie gnocchi było cudowne, bo dokonał tego posąg, który ze swej natury jest cudowny, bo pochodzi z Madjugorie w Bośni i Hercegowinie. Gisella Cardia, opiekunka krwawiącej madonny, pojechała tam, pooglądała jak to wszystko działa. „Dlaczego tylko w Medjugorie ma być tyle kasy i rozgłosu?" – pomyślała. Resztę wydarzeń związanych z cudem rozmnożenia znacie.



Rzecz jasna zdarzają się niedowiarkowie, złośliwe ludziska, co to zazdroszczą Cardii jej sławy mistyczki. Zaczęli badać krew płynącą z oczu Maryi. I co się okazało? Ano, że to świńska krew, innym razem, że to krew samej Cardii; wszystko, tylko nie uznanie, że mama Chrystusa płacze i rozmnaża: gnocchi, pizzę i króliki. A przecież są wśród wiernych tacy, którzy zjedli tę pizzę cudownie rozmnożoną jak na promocji w Pizza Hut.

Taki duży, taki mały...

Dla zazdrośników mam radę. Jedźcie do Częstochowy, Gietrzwałdu albo innego Lichenia i kupcie sobie świętą figurkę. Daleko? – poszukajcie czegoś bliżej domu. Przemysł z dewocjonaliami kwitnie, więc zawsze znajdzie się jakiś dobry posążek lub medalion z potencjałem na święte przedstawienie. A jak się człowiek dobrze przyłoży do swego cudu, to przecież i widzenie można mieć. (Sama znam kilku, którzy po nasączeniu się czymś utrzymują, że rozmawiali z bogami. Trzeba tylko uważać, który to bóg będzie przemawiać, żeby religii nie pomylić).

Jak się dobrze skupić, zakręcić wokół biznesu, to naprawdę może się udać. Świat jest ogromny i wiele jest jeszcze takich miejsc, które nie mają swojego świętego obrazu z krwią płaczącej figury. Tylko proponuję stawiać na coś innego niż krew, bowiem tę zawsze mogą przebadać i wyjdzie, że to krew mistyczki albo jakiegoś zwierzaka. Raczej bym szła w objawienia, bo można opowiadać co przyjdzie do głowy, a w wypadku braku weny, chętnie z red. Cycholem pomożemy. I byleby do pierwszego rozgłosu, potem to już i pierogi się rozmnożą. W końcu, jak pokazał Dziwisz, cuda się zdarzają, a za nie można niejedną luksusową posiadłość wystawić. Więc do roboty, niedowiarkowie! Alleluja i do kasy!

prof. Joanna Hańderek

Misja chrystusowców

Prokuratura z Goleniowa rozpoczęła przesłuchania ws. księdza Janusza Z. z zakonu chrystusowców. Przed laty jego sprawa została zamieciona pod dywan.

Wszystko zaczęło się w 2015 r. od... sutanny. Nikodem, wówczas 13-letni ministrant z Goleniowa i członek kółka teatralnego, miał zagrać księdza w szkolnym przedstawieniu. O pożyczenie stroju poprosił ks. Janusza Z. z parafii św. Katarzyny w Goleniowie, członka zakonu chrystusowców. Wcześniej duchowny pracował w parafii Matki Boskiej Jasnogórskiej w Los Angeles. Ani Nikodem, ani lokalna społeczność nie wiedzieli wtedy, że w USA ksiądz był podejrzewany o „niewłaściwe zachowania" wobec nieletniego. Przełożeni modelowo przenieśli go na inną parafię; w Polsce.

Dziecięcy tors

Z czasem ksiądz zaczął osaczać Nikodema, wychowywanego w rodzinie zastępczej u dziadków. Wysyłał po niego taksówki, odwiedzał pod pretekstem nauki angielskiego, zadawał pytania o życie seksualne i deklarował, że „zastąpi mu ojca". Ksiądz miał mu też obrzydzać dziewczyny, twierdząc, że najlepsza przyjaźń istnieje tylko między mężczyznami.

„Głaskał mnie po klatce piersiowej. Mówił, że jak zarośnie, to ją ogoli, żeby mój tors znowu był taki dziecięcy, bo on takie lubi. (...) Dotykał i kładł się na mnie. Kładł się na mnie, ale go zrzucałem. Nigdy dalej się nie posunął, nie zgwałcił mnie, bo nie pozwoliłem na więcej" – mówił Nikodem w rozmowie z Onetem.

Chłopiec zwierzył się pedagog Agacie Gałkiewicz, która sporządziła notatkę służbową: „Poinformowałam Nikodema, że mam obowiązek zgłosić sprawę pracownikom Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie oraz że skontaktuję się z (jego – red.) babcią". Sprawa nigdy nie trafiła do organów ścigania. Babcia chłopca i proboszcz Rafał Hoczek uznali zachowanie duchownego za „ojcowskie" i zamknęli temat przeprosinami ks. Janusza.

Po dekadzie Nikodem postanowił, że tym razem zgłosi sprawę bezpośrednio organom ścigania. Zachęcił go do tego jeden z księży usunięty z zakonu chrystusowców, od którego usłyszał, że w tym zgromadzeniu było więcej skandali seksualnych zamiatanych pod dywan. Dopiero teraz Nikodem, jako 24-latek, został przesłuchany w obecności psychologa. Z naszych informacji wynika, że prokuraturę interesują nie tylko zachowania księdza, ale także postawa osób i instytucji, które Nikodem zawiadamiał w 2015 r.

Dzieła zakonu

Członkowie zakonu chrystusowców w Polsce byli zamieszani w kilka poważnych skandali seksualnych. Najbardziej znanym przypadkiem jest sprawa ks. Romana B., który kilkanaście miesięcy więził w mieszkaniu swojej matki i gwałcił 13-letnią dziewczynkę. Zmusił ją też do aborcji. W 2018 r. sąd przyznał ofierze milion złotych zadośćuczynienia oraz dożywotnią rentę, uznając odpowiedzialność zgromadzenia za czyny księdza. Zakon próbował migać się od wypłaty. W 2019 r. kolejny ksiądz tego zakonu Stanisław G. został oskarżony o molestowanie dziewczynki śpiewającej w chórze dziecięcym „Serduszka", którym kierował. Zakon zawiesił go w czynnościach kapłańskich, a sprawą zajęła się prokuratura. Od ubiegłego roku w zakonie chrystusowców znowu wrze. Współbracia zarzucają sobie nawzajem m.in. tuszowanie skandali seksualnych, przenoszenie na nowe parafie księży podejrzewanych o nadużycia, „psychopatyczne wykrzywienia" i kontakty homoseksualne wewnątrz zakonu.

Zakon chrystusowców to męskie zgromadzenie, którego głównym celem jest duszpasterstwo wśród Polaków mieszkających poza granicami kraju. „Polska dusza nigdy nie może zaginąć, gdziekolwiek ją los rzuci" – mówił założyciel zgromadzenia, prymas Polski kard. August Hlond. Jego obciążał antysemityzm. Następcy twórczo dopełnili „dzieło" zakonu.

Katarzyna Wilk-Wojtczak

Sąd: wikary niewinny

Sąd okręgowy utrzymał w mocy wyrok uniewinniający ks. Rafała Ś., byłego wikariusza parafii w Tymbarku, któremu prokuratura przedstawiła dwa zarzuty gwałtu na dorosłej kobiecie.

Głośna sprawa ks. Rafała Ś., wikarego w parafii pw. Narodzenia NMP w Tymbarku sięga jesieni 2023 r. Wtedy Kuria Diecezjalna w Tarnowie złożyła w limanowskiej prokuraturze zawiadomienie o możliwości popełnienia przez księdza przestępstwa o charakterze seksualnym. Duchowny trafił do aresztu tymczasowego, który opuścił już w grudniu, po rozpatrzeniu zażalenia. Było to uwarunkowane wpłatą 50 tys. zł poręczenia majątkowego. Byłego wikariusza objęto dozorem policyjnym, zakazem kontaktowania się i zbliżania do świadków, a także zakazem opuszczania kraju. W październiku ub.r. Sąd Rejonowy w Limanowej uniewinnił kapłana od obu zarzutów. Niemal wszystkie media w kraju pisały o „zaskakującym wyroku". Prokuratura odwołała się od tej decyzji i złożyła apelację. Sąd Okręgowy w Nowym Sączu (drugiej instancji) utrzymał w mocy poprzedni wyrok. Obecne rozstrzygnięcie jest prawomocne.

„(...) Od czasu niesłusznego zatrzymania i aresztowania mojego klienta w listopadzie 2023 r. ks. Rafał S. został w pewnym sensie wyrzucony poza nawias społeczeństwa, pozbawiony godności, naruszano jego podstawowe dobra osobiste. W mediach był przedstawiany jako oprawca i ksiądz-gwałciciel. Stracił pracę oraz możliwość wykonywania czynności jako ksiądz. Z konsekwencjami tej sprawy mój klient będzie borykał się przez resztę swojego życia, ale dzisiaj najważniejsze jest, że niewinność księdza Rafała została w całości potwierdzona prawomocnym wyrokiem przez niezawisły sąd" – mówił po rozprawie adwokat Jerzy Adam Mazur.

KWW

eprasa.pl 9e8182a922

Pytania dotyczące Biblii (234)

Ofiara czy posiłek?

Jedna z Czytelniczek pisze do mnie: „Od pewnego czasu mam wątpliwości co do ofiary mszy św. Dlatego mam pytanie: Czy msza św. rzeczywiście jest ofiarą podczas której wskutek wypowiedzianych słów kapłana następuje przemiana chleba i wina w ciało i krew Chrystusa, czy jest to obrzęd ustanowiony przez Kościół katolicki?”.



Zanim odpowiem na to pytanie, najpierw przypomnę najważniejsze twierdzenia dotyczące katolickiej mszy.

Katolicka nauka o eucharystii

Kościół rzeczywiście naucza, że podczas ostatniej wieczerzy paschalnej Jezus nie tylko ustanowił sakrament kapłaństwa, ale ustanowił również eucharystię jako ofiarę mszalną, którą kapłan odprawia w zastępstwie Chrystusa. Dalej uczy, że jak chleb i wino konsekrowane (łac. *consecratio* – poświęcenie) przez Jezusa podczas ostatniej wieczerzy przemieniło się w ciało i krew Chrystusa, tak również chleb i wino konsekrowane przez kapłana przemieniają się w ciało i krew Jezusa. Konsekracja, czyli przeistoczenie (łac. *transsubstantiatio*) chleba i wina w ciało i krew Pańską, które dokonuje się więc wskutek wypowiedzianych przez kapłana słów, należy do najważniejszej części mszy św. Ponieważ – jak uczy Kościół – „Chrystus Pan jest obecny w każdej cząstce Eucharystii”, a „ofiara mszy św. jest w swej istocie równa ofierze krzyżowej” (O. Leon Rudloff, „Mała dogmatyka dla świeckich”, Warszawa 1947, s. 154).

Tak w największym skrócie przedstawia się katolicka nauka o ofierze mszalnej. Czy jednak słowa Jezusa: „Bierzcie, to jest ciało moje (...). To jest krew moja nowego przymierza” (Mk 14,12.22-24), należy rozumieć dosłownie czy symbolicznie?

Ofiara czy pamiątka?

Chociaż Kościół rzymskokatolicki z uporem obstaje przy swoim dogmacie o przeistoczeniu, od dawna jednak istnieją poważne wątpliwości, czy Jezus w ogóle wypowiedział słowa: „To jest ciało moje… To jest krew moja”. Wielu badaczy uważa bowiem, że słowa te przypisane zostały Jezusowi dopiero po jego śmierci. Znamienne jest również, że słów tych nie zawiera „Didache”, czyli dzieło zwane „Nauką dwunastu apostołów”, które powstało w pierwszej połowie II wieku, w którym czytamy: „Co zaś do Eucharystii, tak czyńcie wasze dziękczynienia: Naprzód nad kielichem: Dzięki Ci czynimy, Ojcze nasz, za świętą winnicę Dawida, syna Twego… Zaś przy łamaniu chleba: Dzięki Ci czynimy, Ojcze nasz, za życie i poznanie, któreś dał nam poznać przez Jezusa, Syna Twego. Tobie chwała na wieki” (Warszawa 1923, s. 23-24, rozdz. 9,1-3,)

Poza tym, w pierwotnej wspólnocie mesjanicznej nie było kapłanów-ofiarników i wierzący nie potrzebowali już żadnych pośredników, ponieważ każdy mógł bezpośrednio zwracać się do Boga (pisałem o tym przed tygodniem), jak czytamy w Ewangelii Mateusza: „Gdy się modlisz, wejdź do komory swojej, a zamknąwszy drzwi za sobą, módl się do Ojca swego, który jest w ukryciu…” (Mt 6,6). Zatem nawet gdyby przyjąć, że Jezus powiedział: „To jest ciało moje… To jest krew moja”, to słowa te należy rozumieć symbolicznie, podobnie jak inne określenia odnoszące się np. do wierzących, którzy nazwani zostali „światłością świata” (Mt 5,14), „świątynią Boga żywego” (2 Kor 6,16), „żywymi kamieniami” czy „trzodą Bożą” (1 P 2,5; 5,2). Z Dziejów Apostolskich wynika też, że uczniowie Jezusa „codziennie jednomyślnie uczęszczali do świątyni, a łamiąc chleb po domach, przyjmowali pokarm z weselem i w prostocie serca” (Dz 2,46). I zapewne w ten sposób wspominali śmierć Jezusa oczekując na jego rychłe przyjście.



Niemal wszystko, co głosi Kościół rzymskokatolicki, oparte jest na wymysłach, spekulacjach i oczywistych kłamstwach. W pierwotnej wspólnocie mesjanicznej nie było bowiem ani kapłanów-ofiarników, ani ofiar mszalnych, ani kościołów, ani ołtarzy i nikomu też nie przyszło do głowy, aby – jak to rzekomo czynią kapłani – rozkazywać Bogu.

Pierwsza wzmianka o obchodzeniu pamiątki Wieczerzy Pańskiej i wyraźnym oddzieleniu jej od wspólnych posiłków, pochodzi z Pierwszego Listu Pawła do Koryntian (1 Kor 11,20-21). Ale nawet w relacji Pawła wieczerza ma wyłącznie charakter dziękczynny, mający upamiętniać śmierć Jezusa. Samo przecież greckie słowo *eucharistia* odnosi się do dziękczynienia, a nie do przeistoczenia chleba i wina w ciało i krew Jezusa. Na ten pamiątkowy charakter ostatniej wieczerzy Jezusa zwraca zresztą uwagę nie tylko Paweł (1 Kor 11,23-25), ale również Łukasz (Łk 22,19).

Warto także zauważyć, że niezależnie od tego, jakich słów użył Jezus podczas wieczerzy, słowa te wypowiedziane zostały w trakcie spożywania posiłku paschalnego, który aż do dziś upamiętnia wyjście Hebrajczyków z niewoli egipskiej. Tak więc, w najlepszym razie, przyjmując interpretację ewangelistów, ostatnia wieczerza Jezusa również ma charakter pamiątkowy. Wprawdzie ewangeliści łączą ją z ustanowieniem nowego przymierza (nowe przymierze „z domem izraelskim i z domem judzkim” – Jr 31,31), różni się jednak od przymierza, jakie zostało zawarte pod górą Synaj (Wj 24,1-8) tym, że wiąże się ono z następującą obietnicą: „Złożę mój zakon w ich wnętrzu i wypiszę go na ich sercu (…). I już nie będą siebie nawzajem pouczać, mówiąc: *Poznajcie Pana!* Gdyż wszyscy oni znać mnie będą (…). Odpuszczę bowiem ich winę, a ich grzechu nigdy nie wspomnę” (Jr 31,33-34). To znaczy, że kładzie ono kres wszelkiej obrzędowości (liturgii) z kapłaństwem i odpuszczeniem grzechów za ich pośrednictwem włącznie.

Należy także przypomnieć, że w pierwszych dwóch wiekach, kiedy jeszcze nie istniał podział na duchownych i świeckich (por. 1 P 2,5.9), pamiątkę Wieczerzy Pańskiej mógł sprawować każdy duchowo dojrzały wierzący. Potwierdza to Tertulian (160-220), który twierdził, że uroczystość ta mogła zostać spełniona przez dowolnego wierzącego. Dopiero na początku III wieku obrzęd ten został zastrzeżony dla nowo powstałego kleru.

Kościelne wymysły

Od tego też czasu niemal wszystko, co głosi Kościół rzymskokatolicki, oparte jest na wymysłach, spekulacjach i oczywistych kłamstwach. W pierwotnej wspólnocie mesjanicznej nie było bowiem ani kapłanów-ofiarników, ani ofiar mszalnych, ani kościołów, ani ołtarzy i nikomu też nie przyszło do głowy, aby – jak to rzekomo czynią kapłani – rozkazywać Bogu.

Wiadomo również, że doktryna o ofierze mszalnej kształtowała się przez długie wieki, i to w atmosferze zaciekłych sporów oraz prześladowań tych, którzy mieli odmienne zdanie. Rangę dogmatu uzyskała dopiero na IV soborze laterańskim w 1215 r., za pontyfikatu Innocentego III, a dalszą ewolucję tej doktryny Kościół zawdzięcza przede wszystkim dwóm teologom: Tomaszowi z Akwinu i Albertowi Wielkiemu oraz postanowieniom soboru trydenckiego (1545-1563).

Aby zaś wiernych trzymać w ryzach, na soborze tym postanowiono: „Jeśliby kto zaprzeczał, że w sakramencie Najświętszej Eucharystii zawiera się prawdziwie, rzeczywiście i substancjalnie Ciało i Krew razem z duszą i z bóstwem Pana naszego Jezusa Chrystusa, a w więc i cały Chrystus, lecz mówił, że jest w nim tylko, jako w znaku, lub figurze lub mocy, niech będzie wyklęty” (Ks. W. Granat, „Dogmatyka katolicka”, t. VII, s. 194).

Wszystko to zaś rzekomo w imię prawdziwej wiary, miłości bliźniego i zbawienia, chociaż wszystko to, co głosi Kościół na ten temat – jest nieprawdą. Celebrowanie bowiem pamiątki ostatniej wieczerzy nie jest ofiarą. „Ofiaruj Bogu dziękczynienie – mówi Księga Psalmów – i spełnij Najwyższemu śluby swoje”, ponieważ: „Kto ofiaruje dziękczynienie, czci mnie, a temu, kto nienagannie postępuje, ukażę zbawienie Boże” (Ps 50,14.23). Albowiem innych ofiar Bóg nie żąda! (por. Ps 51,18-19).

Ale czy zechcemy się z tym zgodzić, czy też nadal zechcemy pozostać na łasce kapłanów, to zależy już tylko od nas.

Bolesław Parma

eprasa.pl 9e8182a922

Czytajcie, a znajdziecie

Do powstania chrześcijaństwa, jednej z najważniejszych religii współczesnego świata, przyczynił się zestaw przeróżnych zjawisk. Do najważniejszych należy zapisana w ewangeliach opowieść o życiu prowincjonalnego galilejskiego proroka, który zdecydował się wystąpić w roli mesjasza.

Problemem jest, że relacja o nim została bardzo mocno wypaczona naiwnością i wybiórczą pamięcią towarzyszących mu osób, a w znacznej części także celowymi fałszerstwami. Pewną rolę odegrał ponadto sugestywny splot wypadków, świetnie korespondujący z dominującym w owych czasach myśleniem magicznym. To wszystko zostało przemieszane z wizjami i zmyśleniami pierwszych twórców nowej religii, którzy poszukiwali idei zaspokajającej ich potrzeby duchowe i naginali fakty, by otrzymać odpowiedni produkt. Na to wszystko wpływ wywarł jeszcze specyficzny system wierzeń judaistycznych oraz skomplikowana sytuacja polityczna żydowskiego państwa.

Marzenie o władzy

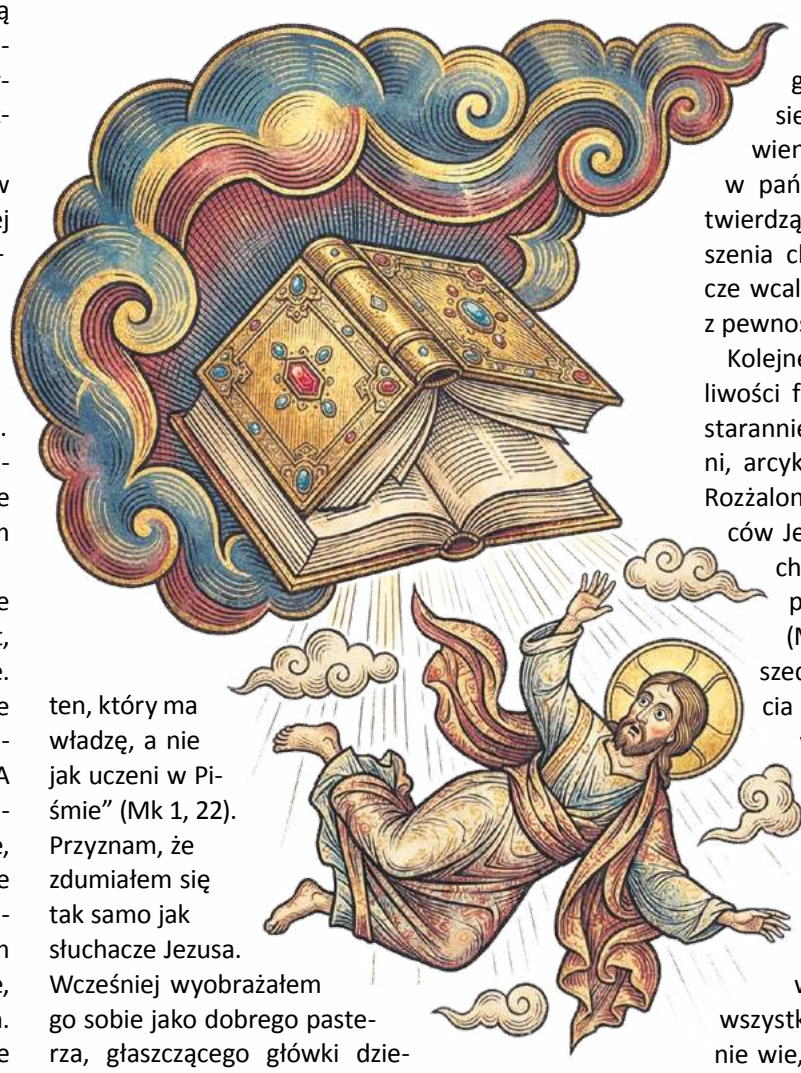
W efekcie powstała bardzo zagmatwana opowieść o autentycznych zdarzeniach, ale tak dalece przesycona nadprzyrodzonymi wątkami, że jedyną narzucającą się interpretacją było uznanie, iż po ziemi Izraela rzeczywiście chodził Syn Boży. W krótkim czasie uwierzyły w to miliony ludzi i powstał potężny Kościół, bezwzględnie pilnujący przyjętych dogmatów.

Trzeba jednak dodać, że mistyczny obraz początków chrześcijaństwa od dawna nie dawał spokoju bardziej racjonalnym umysłom i już przed wiekami podejmowano próby rozwikłania tego gordyjskiego węzła wiary. Także dzisiaj pracują nad tym różne instytuty, badacze, archeolodzy, historycy... W tej sytuacji jest szokujące, w jak prosty sposób można wyjaśnić w zasadzie wszystkie ewangeliczne tajemnice i zagadki. Uniwersalnym kluczem jest bowiem powszechnie znane pojęcie walki o władzę, determinującej właściwie całą historię ludzkości, która była również głównym motywem działalności Jezusa z Nazaretu.

Słowo „szokujące” odnosi się w tym wypadku także do moich odczuć w chwili sprzed około dwudziestu lat, gdy całkiem przypadkowo znalazłem to rozwiązanie. Muszę dodać, że nigdy wcześniej go nie szukałem i nie miałem takiego zamiaru, a wszystko spowodował pewien zbieg okoliczności. Przebywałem wówczas w USA i mieszkałem w domu, w którym jedyną książką w języku polskim okazała się Biblia. Uświadomiłem sobie, że mimo wychowania w katolickim domu wcale jej nie znam; może poza kilkoma fragmentami przywoływanymi podczas kościelnych obrzędów.. Postanowiłem więc przeczytać to dzieło, ale nie jako Pismo Święte, lecz jako historyczny dokument z czasów starożytnych. To co tam odkryłem, wydało mi się na tyle ważne, że rezultaty swoich analiz opisałem w książce „Jak zostaje się Bogiem”. Po kilku kolejnych latach, dzięki życzliwości Redaktora Naczelnego, rozpocząłem także prezentowanie poszczególnych ewangelicznych tematów na łamach „Faktów po Mitach”. Wspominam o tym nie po to, aby kokietować PT Czytelników, lecz by uzmysłowić, że każdy może stosunkowo łatwo odnaleźć prawdę w ewangeliach, jeżeli tylko sięgnie po nie i przeczyta bez z góry przyjętego założenia o boskości głównego bohatera.

Słowa władcy

Przytoczę niektóre urywki Nowego Testamentu, które szczególnie przyczyniły się do odnalezienia ludzkiego wymiaru w opowieściach o Jezusie. Cytat, który jako pierwszy wskazał mi drogę, dotyczył początków jego działalności. „Zaraz w szabat wszedł do synagogi i nauczał. Zdumiewali się Jego nauką; uczył ich bowiem jak ten, który ma władzę, a nie jak uczeni w Piśmie” (Mk 1, 22). Przyznam, że zdumiałem się tak samo jak słuchacze Jezusa. Wcześniej wyobrażałem go sobie jako dobrego pasterza, głaszczącego główki dzieci i napominającego: idź i nie grzesz więcej. Teraz jednak miałem przed sobą obraz człowieka, który przemawia jak władca i chce, by wszyscy to widzieli. Ten moment zdecydował, że kolejne rozdziały czytałem już z uwzględnieniem owego zaskakującego wizerunku.



Potwierdzenie, że nie był przypadkiem znalazłem przy opisie wkroczenia mesjasza w otoczeniu uczniów, krzyczących „witaj królu”, do Świątyni Jerozolimskiej: „Kiedy chodził po świątyni, przystąpili do Niego arcykapłani, uczeni w Piśmie oraz starsi i zapytali Go: *Jakim prawem to czynisz? I kto Ci dał tę władzę, żeby to czynić?*” (Mk 11,27-33). Okazuje się, że arcykapłani doskonale rozumieli, że przybyszowi chodzi o władzę (którą właśnie oni sprawowali) i spytali wprost, jaki ma tytuł do ubiegania się o nią. W jednej z późniejszych scen podobny temat poruszył Piłat, a Jezus odpowiedział: „Królestwo moje nie jest z tego świata” (J. 18,36). Kościół wmawia nam, że w ten sposób potwierdził, iż jest panem nieba, ale to nieprawda. Po prostu wyjaśnił, że jego prawo do władania świątynią (i całą Judeą) wynika z tego, że jako mesjasz, Syn Boży zesłany na ziemię, jest ważniejszy od arcykapłanów. Nie dodał jedynie, że te tytuły nadał sobie sam.

Świadomość faktycznego celu Jezusa sprawia, że wiele jego wypowiedzi nabiera nowego sensu. Choćby takie słowa: „Lisy mają nory i ptaki powietrzne gniazda, lecz Syn Człowieczy nie ma miejsca, gdzie by głowę mógł oprzeć (M 8, 20). Kościół twierdzi, iż mówi to ubogi wędrowiec, głoszący słowo boże. Natomiast Jezus zmusza słuchaczy do zastanowienia, gdzie mesjasz powinien mieć dom – czy nie powinna nim być najwspanialsza budowla w Izraelu, czyli Świątynia Jerozolimska, o której później mówił: „to dom mego Ojca”.

W innym miejscu powiedział: „Czy po to wnosi się światło, by je postawić pod korcem lub pod łóżkiem? Czy nie po to, aby je postawić na świeczniku?” (Mk 4, 21). Cytat ten wykorzystywałem już kilkakrotnie, bo jest sednem całego programu politycznego Jezusa: nie po to ogłosił się mesjaszem, aby siedzieć na prowincji; teraz należy mu się „postawienie na świeczniku”, czyli najwyższe stanowisko w państwie. Kościół próbuje zatrzeć tę wymowę, twierdząc, iż jest to wezwanie do powszechnego głoszenia chrześcijaństwa. Jednak w owym czasie jeszcze wcale nie było chrześcijaństwa i słuchacze Jezusa z pewnością właściwie go rozumieli.

Kolejne jego słowa mniej jeszcze pozostawiają możliwości fałszywej interpretacji. Padły one, gdy mimo starannie przygotowanego wkroczenia do świątyni, arcykapłani nie ukorzyli się przed Synem Bożym. Rozżalony Jezus winą za porażkę obarczył mieszkańców Jerozolimy: „Jeruzalem, Jeruzalem! (…) Ile razy chciałem zgromadzić twoje dzieci jak ptak swe pisklęta zbiera pod skrzydła, a nie chcieliście” (Mt 23,38). Kościół wmawia nam, że on przyszedł do Jerozolimy, by złożyć ofiarę swego życia dla zbawienia ludzi. Natomiast z cytatu jasno wynika, że chodziło mu o to, by mieszkańcy stanęli po jego (mesjasza) stronie w starciu z arcykapłanami. To najbardziej lapidarne podsumowanie zarówno celu, jaki mu przyświecał, jak i fatalnych efektów, które osiągnął. Wkrótce po tej scenie jeszcze raz przyznał się do porażki: „Zaprawdę, powiadam wam: Nie przeminie to pokolenie, aż się to wszystko stanie… Lecz o dniu owym lub godzinie nikt nie wie, ani aniołowie w niebie, ani Syn, tylko Ojciec (Mk 13 30-32). Wcześniej zapewniał, że jego królestwo nadejdzie bardzo szybko, bo wierzył w zwycięstwo przy pierwszym pojawieniu się w świątyni. Teraz odsunął tę wizję w bliżej nieokreśloną przyszłość i przyznał, że nie jest równy swemu boskiemu Ojcu. A przecież jeszcze niedawno głosił: „Wszystko przekazał Mi Ojciec mój. Nikt też nie zna Syna, tylko Ojciec, ani Ojca nikt nie zna, tylko Syn i ten, komu Syn zechce objawić” (Mt 11, 27).

***

Przywołałem jedynie kilka cytatów ewangelicznych, które dowodzą, jak dalece kościelna wersja historii Jezusa rozmija się z rzeczywistym sensem i przebiegiem wydarzeń ewangelicznych. Sądzę jednocześnie, że każdy, kto zechce sam sięgnąć do Nowego Testamentu, znajdzie tam dziesiątki, a nawet setki dalszych, równie ciekawych fragmentów i jestem przekonany, że przyniesie mu to dużo satysfakcji.

Sławomir Sadowski

eprasa.pl 9e8182a922



Przestępczość cudzoziemców w UK

Brytyjczyk z zapałkami

fot. Ilustracja AI

W brytyjskiej debacie publicznej przestępczość cudzoziemców działa jak zapalona zapałka nad otwartą beczką benzyny: jedno hasło w tabloidzie, a płonie pół kraju.

Politycy uwielbiają ten temat, bo daje prostą odpowiedź w dyskusji nad każdym problemem. Media też, bo nic się tak nie klika w internecie, jak nagłówki o „gangach imigrantów". Jakie są fakty? Nie wiadomo.

W Zjednoczonym Królestwie (UK) mieszka dziś prawie 68 mln ludzi, z czego 15 proc. to imigranci. Po brexicie liczba Europejczyków spadła, ale migracja nie. Zmienił się jedynie kierunek: w miejsce Europejczyków przyjechali obywatele Azji, Afryki i Bliskiego Wschodu.

Ilu cudzoziemców siedzi w więzieniach?

W systemie więziennym UK jest dziś około 88 tys. osadzonych (Anglia i Walia), z czego niespełna 11,5 tys. to cudzoziemcy (13 proc.). Szkocja i Irlandia Północna mają odrębne systemy więziennictwa, ale dane pokazują zbliżone proporcje. Przy 15 proc. udziału imigrantów w populacji oznacza to, że imigranci są statystycznie niedoreprezentowani w więzieniach. Nie ma żadnej „fali przestępców z zagranicy" (przynajmniej w oficjalnych danych). Jest natomiast fala narracji politycznych w tabloidach.

Realna liczba przestępstw w Anglii i Walii wynosi rocznie 8-9 milionów, z czego tylko około 4 mln trafia do policyjnych statystyk. Oznacza to, że połowa przestępstw w ogóle nie istnieje w systemie, bo nie jest zgłaszana lub nie zostaje zarejestrowana przez policję. Dotyczy to zwłaszcza kradzieży, napaści i uszkodzeń mienia, gdzie „ciemna strefa" sięga 60-80 proc. Innymi słowy: państwo widzi tylko to, co chce, a reszta znika, jakby jej nigdy nie było.

Za co wsadzają

Ogromna część wzrostu populacji więziennej nie ma żadnego związku z imigrantami, tylko ze *speech offences* – przestępstwami związanymi z publikacją treści w internecie. Są one ścigane na podstawie kilku nakładających się ustaw, m.in. Online Safety Act 2023 (ten dokument nie został jeszcze wprowadzony w całości), ale policja i prokuratura już ich używają, a na dodatek wybierają z nich to, co im pasuje. Innymi słowy: różne nazwy, dowolna kombinacja paragrafów, ale ten sam efekt. Wyrok za treść opublikowaną w internecie: wpis na Facebooku, mem, komentarz na X, żart, który nie spodobał się funkcjonariuszowi.

Ministry of Justice (brytyjskie Ministerstwo Sprawiedliwości) od lat raportuje stały wzrost skazań z tych przepisów, od ok. 2,5 tys. w 2015 r. do ponad 5 tys. obecnie. Setki wyroków bezwzględnego więzienia. Jedna z najszybciej rosnących kategorii przestępstw.

Sprawcy? Rdzenni Brytole

Przykłady mówią same za siebie: mężczyzna skazany za mem o policjantce z Nottinghamshire; student z wyrokiem w zawieszeniu za komentarz o flagach Pride; 51-latek ukarany za żart o COVID-19 („wywoływanie niepokoju społecznego"). Brytyjskie prawo tworzy kategorię „przestępców internetowych", którzy w innych krajach dostaliby co najwyżej blokadę konta.

Ponieważ system więziennictwa pęka w szwach, wypuszcza się sprawców poważnych przestępstw: gwałciciela, winnego przemocy domowej czy dwóch recydywistów, którzy wyszli przez pomyłkę systemu komputerowego. To tylko kilka przykładów. Jeden szczególnie wyraża nostalgię za Monty Pythonem.

Wolność zamiast deportacji

W październiku 2025 r. brytyjski system więziennictwa wypuścił z więzienia mężczyznę, który miał zostać deportowany do Etiopii. To Hadush Kebatu, nielegalny imigrant z Etiopii, skazany za molestowanie 14-latki. Zgodnie z procedurą, miał trafić do ośrodka detencyjnego, a stamtąd do deportacji. Przez błąd administracyjny kazano mu wyjść na wolność. Kebatu, świadom sytuacji i bojąc się, że zostanie uznany za uciekiniera, wracał pod bramę więzienia kilka razy, próbując oddać się z powrotem w ręce państwa. Strażnicy kazali mu jednak spadać na drzewo.

Dopiero po pewnym czasie system zorientował się, że „zaginął" i wtedy uruchomiono policyjne blokady, alerty prasowe, poszukiwania na skalę ogólnokrajową, jakby chodziło o groźnego terrorystę grasującego po United Kingdom.

To idealny przykład pokazujący, dlaczego Brytyjczycy zaczęli obwiniać nielegalnych imigrantów za całe zło: sprawca realnego przestępstwa, nielegalny pobyt, chaos systemu, wielkie medialne poszukiwania, czyli wszystkie elementy, które tabloidy uwielbiają. I dlatego ten przypadek był wykorzystywany jako „dowód", że „nielegalni imigranci to zagrożenie". Jeden przestępca stał się symbolem całej grupy. Rząd przeprasza, przyjmuje odpowiedzialność; i nic się nie zmienia.

Mity o imigrantach

Znaczna część Brytyjczyków wierzy, że największym zagrożeniem są osoby nielegalnie przypływające przez Kanał La Manche. Problem polega jednak na czymś innym, dużo poważniejszym: państwo nie wie, bo nie ma żadnych danych, które potwierdzają lub obalają tę tezę. W odpowiedziach parlamentarnych Home Office od lat powtarza jedno zdanie: *We do not provide crime statistics by migration route*. (Nie podajemy statystyk przestępczości według trasy wjazdu). Czyli rząd nie wie nawet, jak dana osoba dostała się do kraju.

Właśnie tu dochodzimy do największego paradoksu brytyjskiej debaty publicznej: grupa, która najbardziej rozpala opinię publiczną, czyli ludzie przybywający nielegalnie, jest jednocześnie grupą, o której państwo wie najmniej. To oni stają się symbolem zagrożenia, choć rząd nie posiada o nich właściwie żadnych danych.

Od 2018 r. przez Kanał La Manche nielegalnie przypłynęło ponad 230 tys. ludzi. Tylko w 2025 r. ponad 40 tys. Ile przestępstw popełniają? Państwo nie wie. Bo nie istnieje baza, która łączyłaby sposób wjazdu, dane policyjne, dane sądowe i decyzje azylowe. Systemy Home Office i policji funkcjonują jak dwa komputery z lat 90. próbujące przesłać sobie plik przez kabel, którego nikt nie podłączył.

Polityczna gra w ping-ponga

Opozycja zrzuca winę na rząd, rząd na opozycję. Co kilka, kilkanaście lat zamieniają się miejscami i ogłaszają wielki „reset polityki migracyjnej". I za każdym razem efekt jest taki sam: premierzy się zmieniają, ministrowie się zmieniają, konferencje się zmieniają; a problem stoi w miejscu jak boja na środku kanału.

Sortowanie ludzi

Legalny imigrant zostawia w systemie więcej śladów niż przeciętny Brytyjczyk: NIN (odpowiednik ZUS), HMRC (urząd skarbowy), NHS (publiczna służba zdrowia), adresy, konta bankowe, dane ze szkoły. A nielegalny? Może podać dowolne dane, może zniknąć z hostelu, może pracować na czarno, a w statystykach go nie ma.

Wielka Brytania potrafi policzyć, ile żyje na jej terenie wróbli, ile jest lisów miejskich i o ile zwiększył się areał mchu w Walii, ale nie potrafi ustalić, ilu nielegalnych imigrantów zniknęło z hoteli, ośrodków czy centrów recepcyjnych. Natura jest policzalna. Migracja niekoniecznie.

Problem? Państwo!

Czy cudzoziemcy podnoszą poziom przestępczości? Statystyki mówią jasno – nie. Oczywiście, statystyka bywa przewrotna jak w starym dowcipie: statystycznie człowiek i pies mają po trzy nogi. Dlatego warto trzymać się faktów. Jeśli takie są. A tych brak.

Czy rząd panuje nad sytuacją? Nie, bo państwo nawet tej rzeczywistości nie rejestruje. Rząd chwali się, że przestępczość spada, nielegalnych odsyła, a migrantów przenosi do lokali tańszych niż hotele. Na papierze wygląda to jak triumf „skutecznego państwa". Tyle że Brytyjczycy mają zupełnie inne odczucia. Statystyki statystykami, ale codzienność potwierdza coś zupełnie innego i żadne oświadczenia premiera i ministrów tego nie przykryją. Prawdziwym problemem nie są cudzoziemcy tylko państwo, które nie potrafi policzyć ludzi, których przyjmuje, ani monitorować tych, którzy przypływają mu pod sam próg.

Premier Starmer obiecywał „kontrolę". Tylko nie powiedział czego.

Daniel Młynarski, Londyn

eprasa.pl 9e8182a922

6 milionów za pośladkami

Nastolatki w Polsce mają obecnie średnio 6,5 konta w mediach społecznościowych i spędzają w nich średnio 3 godziny i 23 minuty dziennie. Kto ich wychowuje?



Jeszcze niedawno dzieciom i nastolatkom świat tłumaczyli przede wszystkim rodzice, szkoła, książki. Dziś coraz częściej robią to młodzi ludzie z telefonów, którzy sprzedają w internecie własne ciała, emocje, konflikty, luksus i starannie wyreżyserowane „idealne życie". Są popularni nie dlatego, że mają coś do powiedzenia, ale dlatego, że umieją przyciągnąć uwagę. A w świecie mediów społecznościowych uwaga jest najcenniejszą walutą. Problem zaczyna się, gdy z tej tandetnej rewii bogactwa, głupoty i pustych emocji powstaje coś więcej niż rozrywka – wzór sukcesu, prestiżu i marzeń o przyszłości.

Ja jestem Fagata, sexy cipka spod Konina*

Najbardziej prymitywna treść w internecie ma się dziś znakomicie. Jej produkcja nie wymaga wiedzy, talentu ani nawet szczególnej pomysłowości. Wystarczy seksowne ciało, skandal (zazwyczaj sztucznie wywołany), wulgarność i umiejętność sprzedania tego np. w opakowaniu „buntowniczej dziewczyny". Twarz tego zjawiska? Choćby Fagata. Według dostępnych statystyk, jej publiczność w mediach społecznościowych to już ok. 6 mln odbiorców. Za tytułowymi „pośladkami" idzie dziś tłum większy niż populacja niejednego europejskiego państwa.

W filmikach Fagaty nie chodzi o twórczość w dawnym sensie tego słowa. Chodzi o serię prostych bodźców: zdjęcia i nagrania oparte na seksualizacji, ostentacyjnym pokazywaniu luksusu, prowokacji i wulgarności. Fagata nie tylko prowadziła konto na OnlyFans (platformie z treściami dla dorosłych), ale zrobiła z niego element własnej marki – a nawet nagrała utwór pod tytułem „OnlyFans". Sama publicznie opowiadała też o zarobkach z tej platformy: w rozmowie cytowanej przez media przyznała, że w pierwszym miesiącu było to więcej niż 220 tys. zł, a w innym materiale mówiła, że jest w 0,03 proc. najlepiej zarabiających użytkowników serwisu.

Obok niej krążą Lexy Chaplin, Natsu, Kacper Błoński czy Marcin Dubiel – postacie znane głównie z życia zamienionego w spektakl. Ich internetowe filmiki i relacje rzadko opowiadają o czymś istotnym. Relacje w związkach odgrywane są „pod publiczkę", wzajemne zaczepki, seksualne aluzje, opowieści o drogich, przedmiotach, wyjazdach i „życiu na bogato". Sprzedają podglądactwo i emocję, która jest jak fast food i ma człowieka zatrzymać na kilka sekund dłużej. A tych kilka sekund to dziś twarda waluta.

Tacy „idole" sprzedają cały katalog marzeń: rozpoznawalność, markowe rzeczy, wakacje na pokaz i łatwe do zdobycia bogactwo. Młody człowiek patrzy na to codziennie i dostaje prostą lekcję: nieważne, co umiesz. Ważne, czy umiesz siebie opakować i sprzedać. I właśnie dlatego bardziej opłaca się dziś wyglądać niż wiedzieć, prowokować niż tworzyć, sprzedawać własną prywatność niż mieć cokolwiek do powiedzenia.

Dziś wakacje w LA, kiedyś było to marzenie

Jeśli internetowy „fast food" żeruje na skandalu i seksualizacji, to wyższy poziom tej samej gry stanowi fabryka atrakcji. Tu w miejsce awantur i półnagich zdjęć wchodzą widowisko, tempo i nieustanny ruch. ReZi i Friz oferują życie w bajkowym świecie: pełne wyzwań, rywalizacji, drogich gadżetów i wyjazdów. Ich filmy przypominają skrzyżowanie teleturnieju z kolonii dla rozpieszczonych dzieci i reklamy życia, w którym ciągle coś się dzieje.

To rozrywka produkowana niemal taśmowo. Wszystko jest szybkie, kolorowe, głośne i podkręcone, tak by widz nie miał chwili na znużenie. Nie trzeba się nad niczym zastanawiać. Wystarczy patrzeć, jak inni świetnie się bawią, wydają pieniądze i żyją w świecie, który dla przeciętnego nastolatka pozostaje równie pociągający, co kompletnie nierealny. To profesjonalny przemysł uwagi (model gospodarczy, w którym ludzka uwaga jest traktowana jako ograniczony i cenny zasób, o który konkurują media, platformy społecznościowe i reklamodawcy) skrojony pod młodego odbiorcę, który coraz częściej szuka nie sensu, lecz bodźca. Codzienność przegrywa z nieustannym spektaklem, a zwykłe życie – szkoła, praca, obowiązki, cierpliwe dochodzenie do czegoś – wygląda jak towar z przeceny.

Wszędzie gdzie nie wejdę to robię wrażenie

Nie wszystko, co podbija internet, musi być jednak wulgarne albo skandaliczne. Czasem wystarczy, że jest ładne, miękkie i słodkie jak wata cukrowa. W tej kategorii świetnie odnajdują się Maria Jeleniewska i Wersow. Pierwsza buduje popularność na krótkich, efektownych filmikach przyciągających uwagę m.in. tańcem i stylem życia. Druga od lat sprzedaje starannie wygładzony obraz codzienności: emocje, związki, wnętrza, zakupy, podróże, ciążę, macierzyństwo, sukces. Wszystko podane tak, by dobrze wyglądało na ekranie i nie wymagało od odbiorcy żadnego wysiłku.

To nie jest internetowa patologia wprost. To treści lekkie, przyjemne, estetyczne i całkowicie nieszkodliwe... tylko na pierwszy rzut oka. Nie ma tu wielkich awantur, jest natomiast nieustanne sączenie młodym do głowy jednego komunikatu: życie powinno być ładne, gładkie i dobrze opakowane. Pokój ma wyglądać jak z katalogu, związek jak z reklamy, ciało jak po obróbce cyfrowej, a codzienność jak niekończąca się sesja zdjęciowa. Ten rodzaj treści bywa skuteczniejszy niż ordynarny skandal. Skandal oburza, a taka lekka, pastelowa pustka usypia czujność i nie daje dorosłym łatwego pretekstu do alarmu. Jednak w praktyce uczy bardzo konkretnej hierarchii wartości: ważniejsze od wiedzy są wrażenie, wizerunek i opakowanie. Nie liczy się kim jesteś, tylko jak wyglądasz na ekranie.

To również jest forma konsumpcjonizmu, tyle że podana w eleganckim pudełku. Młody odbiorca nie dostaje tu wprost komunikatu „kupuj", lecz znacznie skuteczniejszy przekaz: zobacz, jak wygląda szczęście. Influencerka ma nowe, markowe ubrania, modny makijaż, piękne mieszkanie. A skoro tak wygląda sukces, to trudno się dziwić, że coraz więcej dzieci marzy nie o tym, by coś umieć, ale o tym, by mieć te piękne przedmioty i by dobrze wypaść w kadrze.

Jak nie masz sześciu zer na koncie, nawet nie podbijaj

Na drugim biegunie są ci, którzy naprawdę coś światu dają, ale w wyścigu o uwagę niemal nie istnieją. Dr Magda Kordon-Kiszala, współzałożycielka i szefowa intoDNA, rozwija technologię wykrywania uszkodzeń DNA; w mediach społecznościowych nie stoi za nią jednak tłum – jej profil na LinkedIn śledzi około 5-6 tysięcy osób. Prof. Piotr Sankowski, czołowy polski badacz algorytmów i sztucznej inteligencji, na Instagramie ma zaledwie 53 obserwujących. Nawet dr Sławosz Uznański-Wiśniewski, który jako drugi Polak poleciał w kosmos, na Instagramie gromadzi około 319 tys. osób. A teraz zestawmy to z drugą stroną tego samego ekranu: Fagata ma około 6 mln obserwujących. Oto bilans naszych zbiorowych fascynacji: badania DNA przegrywają z internetową prowokacją, nauka o sztucznej inteligencji z wygłupem, a kosmos z machaniem pośladkami do kamery w stroju króliczka.

I to właśnie jest najbardziej kompromitujące nie tylko dla młodych, lecz dla nas wszystkich. Bo zasięgi nie biorą się znikąd. To nie algorytm spadł z kosmosu i sam z siebie uznał, że ważniejsze od badań DNA, AI czy lotów w przestrzeń jest wyginanie się do kamery. Algorytm tylko bardzo sprawnie podaje nam to, na co najchętniej patrzymy. Problem nie polega na tym, że istnieją Fagata, Dubiel, Friz czy Wersow. Problem w tym, że stworzyliśmy świat, w którym najlepiej nagradzane nie jest to, co wartościowe, tylko, co najłatwiej sprzedać. Ciało, skandal, luksus, konsumpcja i bogactwo – także bogactwo upozowane, pożyczone albo zwyczajnie zmyślone – okazały się znacznie bardziej dochodowe niż wiedza, praca i kompetencje. Zasięgi mówią dziś o społeczeństwie więcej niż niejeden sondaż. Pokazują, komu zazdrościmy, za kim idziemy i kogo podsuwamy dzieciom jako wzór sukcesu. A skoro przez trzy godziny dziennie wychowuje je algorytm, nie udawajmy potem zdziwienia, że bardziej opłaca się machać pośladkami niż badać DNA.

Agnieszka Stefańska

* śródtytuły pochodzą z piosenki Fagaty „Bandycka Jazda"

eprasa.pl 9e8182a922

Działkowcy z Marszałkowskiej

Prawie środek Warszawy, niedaleko stacji metra Racławicka. Wychodzisz, a tu biedabudy z dykty, krzywe paliki na pomidory i chwiejąca się ławeczka. Wszystko ogrodzone siatką. Z drugiej strony ścisłego centrum stolicy, przy Arkadii – tak samo. I w Łodzi wzdłuż al. Włókniarzy, Źródłowej przy Parku Helenów. Właściwie w centrach wszystkich wielkich polskich miast. Wszędzie ogrodzenia i slumsowa zabudowa czegoś noszącego dumną nazwę Rodzinne Ogródki Działkowe.



Rodos dla każdego

W całej Polsce istnieje ich blisko 5 tys. i skupiają ponad 900 tys. działek, które zajmują łączną powierzchnię około 40 tys. hektarów – w dużej mierze na terenach miejskich. Korzysta z nich około 4 mln osób. Ich atrakcyjność rośnie wraz z postępującą betonozą i brakiem dostępnych terenów zielonych, zwłaszcza w obrębie śródmieść.

Kawałek ziemi z szopką i paroma krzakami można kupić już za kilkanaście tysięcy złotych, pod warunkiem, że chce się go mieć w jakiejś pipidówie. W Poznaniu za ogródek działkowy z budynkiem trzeba wyskoczyć nawet z 300 tys. zł. W innych dużych miastach – w zależności od lokalizacji – działki o wymiarach „kilka długości łopaty na kilka długości grabi" wyceniane są do 250 tys. zł. Kupują je zarówno emeryci, jak i młode pary, które chcą mieć gdzie wstawić grill i dmuchany basen dla dziecka. Co jednak najśmieszniejsze, za tę cenę – formalnie – nie ma się nic. Bo o tym, czy ktoś kto kupił działkę i będzie mógł się na niej wylegiwać na leżaku decyduje ciało o nazwie „zarząd". I nawet jak zarząd przyjmie kupca ogródka w szeregi członków, to taki działkowiec wciąż nic nie ma. Zakup działki za 300 tys. zł daje jedynie prawo do korzystania z niej; i to jest jeszcze obwarowane opłatami.

Przystępując do grona działkowców nabywca musi przelać jednorazowo od 120 do 300 zł opłaty wpisowej, do tego zwykle dochodzi kilkadziesiąt złotych tzw. opłaty inwestycyjnej, bo każdy ROD sam decyduje o jej wysokości. Potem co roku każdy działkowiec płaci składkę członkowską od 6 do 40 zł i opłatę ogrodową za każdy metr kwadratowy działki – od 0,12 do 0,90 zł/mkw. A to tylko wierzchołek wydatków. Ogródki są bowiem oświetlone i mają podciągnięte prąd, wodę oraz kanalizację. Ponieważ montowanie liczników na każdej działce się nie kalkuluje, każdemu działkowcowi wylicza się zwykle jakąś ryczałtową składkę, miesięcznie co najmniej kilkadziesiąt złotych. Utrzymanie ROD staje się więc przedsięwzięciem niemal na poziomie posiadania małego domku letniskowego.

Te dane układają się w obraz, w którym zarządy ROD i ich czapa o nazwie Polski Związek Działkowców (PZD) dysponują niebagatelną siłą finansową i organizacyjną. Formalnie bowiem użytkownicy działek nie są ich właścicielami – ziemia pozostaje w gestii PZD, skarbu państwa lub samorządów. Żaden działkowicz nie ma prawa założenia sobie na ogródek działkowy księgi wieczystej.

Piętrowa szopka z piwniczką

Czy zatem niefunkcyjni działkowicze płacący za spłachetek ziemi są jeleniami? Na pierwszy rzut oka, tak. ROD to wydzielone obszary przeznaczone na rodzinne ogrody działkowe, ich celem ma być zaspokajanie potrzeb wypoczynkowych, rekreacyjnych oraz socjalnych mieszkańców. W ramach realizacji tych celów na terenach ogródków można więc budować altany, szklarnie, a nawet domki letniskowe – murowane lub drewniane. Chałupka postawiona bez zgody zarządu i – oczywiście – zezwolenia, nie może mieć więcej niż 35 mkw. powierzchni i do 5 m wysokości przy dachach pochyłych lub 4 m przy dachach płaskich. Oczywiście taki domek może mieć podpiwniczenie. Ogródki umożliwiają także postawienie urządzeń rekreacyjnych dla dzieci, a nawet ogrodzenia, byle o wysokości do 1 m i ażurowej strukturze. Zabronione jest natomiast budowanie komórek, szop oraz toalet wolnostojących. Ale kto by się tym przejmował.

Jeśli zarząd ROD da zgodę, to można postawić budynek o podstawie większej niż 35 mkw. Ponieważ rząd PiS zniósł konieczność uzyskiwania zgody na domy mające do 70 mkw., to po zbudowaniu hacjendy można to zgłosić w urzędzie bez obaw o reperkusje. Samowole mają się dobrze. Oczywiście na terenie ROD – formalnie – nikomu nie wolno mieszkać cały rok. Tylko kto miałby taki przepis egzekwować? Obecność zimą w piętrowym domku mającym ogrzewanie, wodę, prąd i kanalizację nie służy przecież mieszkaniu, ale kontroli czy ktoś się nie włamał lub czy jakaś rura nie pękła. Takie tłumaczenie wystarcza policji i strażnikom miejskim. Dlatego w wielu ogródkach mieszkają ludzie, i to wcale nie ci bezdomni. Czymś, co ich odróżnia od mieszkańców domów wolnostojących jest jedynie brak adresu, zarezerwowanego przecież dla całego ROD.

Ale i to można zmienić – zgodnie z nowelizacją prawa budowlanego, właściciel tzw. samowoli budowlanej może złożyć wniosek o jej zalegalizowanie. Dokument zostanie zatwierdzony przez urzędników bez rozpatrywania jego zasadności, jeśli budowa zakończona została co najmniej 20 lat temu, co w praktyce oznacza, że wielu budynków nikt nie zakwestionuje.

Patologie związane z ogródkami można mnożyć: nieustające pijatyki przy grillach, hodowanie pomidorków w centrach miast, które dzięki „rurociągom wydechowym" i smogowi mają w sobie dużo ołowiu i kobaltu, nie wspominając o kurach dozwolonych na działkach, które żrąc zanieczyszczoną miejskim powietrzem trawę znoszą świecące w ciemności jajka. Są i pozytywy. Ogródki są przecież zieloną enklawą wśród asfaltu i betonu. Chociaż coraz rzadziej przypominają ogrody, a coraz częściej coś w rodzaju gett i twierdz, okupowanych przez zamknięte środowiska działkowe, kontrolowane przez zarządy nie tylko z klucza formalnego, ale też towarzyskiego.

Byle do uwłaszczenia

Brzydoty tej ogródkowej Polski Związek Działkowców od lat broni jak niepodległości. Najnowszy lament działaczy dotyczy tego, że rząd przygotowuje rozwiązania prawne, które – ich zdaniem – mogą stać się podstawą do likwidacji wielu ROD. Ministerstwo Rozwoju i Technologii pracuje nad przepisami, które pozwolą samorządom sprawniej gospodarować gruntami. Choć intencją ma być rozwój budownictwa społecznego, PZD ostrzega, że może się to odbić na istnieniu wielu ogrodów.

Według projektu, ogrody działkowe mogą być dopuszczone tylko w dwóch rodzajach stref funkcjonalnych – zabudowy jednorodzinnej i zieleni rekreacyjnej. Po interwencji działkowców dopisano jeszcze jedną – strefę wielofunkcyjną z zabudową mieszkaniową wielorodzinną. To jednak wciąż za mało. PZD chce stworzenia osobnej strefy działkowej lub możliwości istnienia ROD w każdej strefie. Równocześnie apeluje, by w nowelizacjach prawa gruntowego uwzględnić mechanizmy przekazywania gruntów z Zasobu Własności Rolnej Skarbu Państwa do gmin, właśnie na potrzeby ROD, i żąda preferencyjnych stawek użytkowania wieczystego.

Dla przeciętnego mieszkańca wszystkie te obawy wydają się bez sensu – przecież ogródki mogłyby stać się parkami i terenami zielonymi dostępnymi dla wszystkich. Ale władza, jak zwykle, ma inne plany – grunty miejskie są łakomym kąskiem dla deweloperów. A pamiętajmy, że ROD są właścicielami jedynie niewielkiego fragmentu terenu, który zagospodarowują – reszta to grunty publiczne.

PZD od dekad walczy o zapis, że to stowarzyszenia ogrodowe są właścicielami ogródków. Stowarzyszenia, czyli zarządy, znaczy działacze. Setki hektarów w centrach miast nie mają dla nich bowiem wymiaru ekologicznego czy rekreacyjnego, ale *stricte* finansowy – wyrażający się w miliardach złotych. Gdyby działacze przejęli te tereny, staliby się bardzo bogaci. I – jak sądzę – pierwsze co zrobiłyby uwłaszczone zarządy, to opchnięcie ogródków deweloperom.

Stefan Płonicki

eprasa.pl 9e8182a922

Zaślubiny i konkury

Wielkanoc nie uspokoiła nastrojów. Karol Nawrocki próbuje kontynuować ofensywę przeciw demokratycznemu rządowi na polu prawnym i konstytucyjnym. Publiczna debata ekspremiera Morawieckiego i prezesa PSL stała się zaczynem dywagacji o ich możliwym przyszłym sojuszu wyborczym.

Wszyscy pasjonują się teraz przyjęciem i jednocześnie nieprzyjmowaniem przez obecnego prezydenta RP ślubowania sędziów Trybunału Konstytucyjnego. A konkretnie wysłuchaniem roty przysięgi wypowiedzianej przez dwojga nowo wybranych sędziów i brakiem jasności co do zamiarów głowy państwa wobec pozostałych czworga powołanych przez Sejm tego samego dnia, o tej samej z grubsza godzinie, choć – zgodnie z wymogiem ustawy zasadniczej – w odrębnych, indywidualnych głosowaniach.

W związku z tym furorę robi słowo „ślubowanie" w różnych formach i odmianach. Na własne uszy słyszałem, jak jeden z dość wysoko usadowionych polityków kilkakrotnie w krótkim wywiadzie radiowym określał dwojga szczęśliwych sędziów jako „zaślubieńców".

Ściema

Nawrocki nabrał wody w usta, a jego kanceliści wyjaśniają tę sytuację w zagmatwany sposób, plącząc się w zeznaniach. Najpierw twierdzili, że wszystkich sześcioro wybrano nieprawidłowo z uwagi na rzekome błędy proceduralne (zarzut się nie potwierdził). Potem, że zaproszenie tylko dwojga sędziów wynikało stąd, że w trakcie kadencji obecnej głowy państwa, skończyły się kadencje akurat dwóch członków TK. Wybrańców wyselekcjonował po przejrzeniu życiorysów i zapoznaniu się z dorobkiem elektów, co – chyba nieopacznie – wyznał szef Kancelarii Zbigniew Bogucki. Nic bowiem nie daje mu do tego prawa.

Według innej linii argumentacyjnej, wybór sześciorga osób naraz miałby być wadliwy, bo Sejm powinien był uzupełniać skład tego sądu na bieżąco, a nie odkładać tę decyzję i później swego obowiązku dopełniać hurtem. Faktem jest, że koalicja 15 października umówiła się, by nie kooptować pojedynczych uznanych prawników do ciała zainfekowanego służalczością wobec partyjnej centrali z ulicy Nowogrodzkiej. Byłyby to bowiem głosy wołających na puszczy, bez żadnego wpływu na decyzje Trybunału. Czekano też na zmianę w pałacu przy Krakowskim Przedmieściu, by powtórnie uchwalić nową ustawę o TK – po tym, jak Andrzej Duda skierował ją do Trybunału Bogdana Święczkowskiego, a ten uznał ją za niekonstytucyjną. Jak wiadomo, zmiana w pałacu nastąpiła – ale na gorsze. Z formalnego punktu widzenia nie było tu jednak żadnego niedopatrzenia: pięciokrotnie, gdy tylko pojawiały się wakaty, marszałek Sejmu (Szymon Hołownia jeszcze) proces wyboru inicjował, PiS zgłaszało kandydatów (jednego ze swych posłów oraz dwóch pracowników naukowych Uniwersytetu im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego oraz KUL), inne kluby się powstrzymywały, a cała Izba odrzucała propozycje partii Jarosława Kaczyńskiego. Jeśliby uznać logikę ludzi Nawrockiego w tej kwestii, oznaczałoby, że wybór na cztery wakaty w Trybunale nigdy już nie zostałby dokonany. W pierwszej kadencji Trybunału w 1985 r. wybrano jego sześciu członków na cztero-, a innych sześciu – na ośmioletnią kadencję; dzięki temu uniknięto wymiany wszystkich sędziów w jednym czasie. Później długości kadencji w naturalny sposób się „rozjechały", ale co jakiś czas zdarzały się powołania kilkuosobowych grup.


fot. Ilustracja AI

Delikt konstytucyjny prezydenta

Podkreślmy, że konstytucja nie przewiduje żadnej roli prezydenta w procesie kształtowania składu Trybunału, a w stosownej ustawie (pisowskiej, jednej z dwunastu uchwalonych w czasie prób przejęcia kontroli nad TK w latach 2015-2023) mówi się jedynie o konieczności złożenia ślubowania „wobec prezydenta". Pełni on w tym ceremoniale rolę absolutnie bierną. Niczego nie kwituje, nie selekcjonuje, nie sprawdza poprawności, nie wydaje żadnego aktu urzędowego. Ma po prostu wysłuchać i pogratulować. Zgodnie ze zwyczajem, powinien jednak stworzyć sędziom możliwość wypowiedzenia stosownej formułki. Inaczej nie bardzo wiadomo, w jaki sposób wybrani sędziowie mogliby przysiąc, iż będą „służyć wiernie Narodowi, stać na straży Konstytucji, a powierzone obowiązki wypełniać bezstronnie i z najwyższą starannością".

Miejmy nadzieję, że rządząca większość poradzi sobie z obstrukcją Nawrockiego. To nie jest jego widzimisię, ma on obowiązek wykonać czynność, do której zobowiązuje go prawo. Uniemożliwianie pracy innego konstytucyjnego organu bez wątpienia jest złamaniem ustawy zasadniczej przez prezydenta. Włodzimierz Czarzasty i Donald Tusk nie powinni więc się zadowolić znalezieniem sposobu skutecznego złożenia przez czterech sędziów ślubowania „wobec" głowy państwa (wcale nie musi to się odbywać podczas sztampowej mecyi w pałacu) – powinni także uruchomić procedurę prowadzącą do pociągnięcia Nawrockiego do odpowiedzialności konstytucyjnej. Większość wystarczająca do zainicjowania prac przez zajmującą się przygotowaniem wniosku sejmową komisję koalicja posiada. Zanim dojdzie do głosowania w sprawie postawienia przed Trybunałem Stanu, układ sił w parlamencie się zmieni. Obóz demokratyczny powinien iść do wyborów m.in. z hasłem impeachmentu. Zresztą, niech przestrogą będzie, że niewyciągnięcie konsekwencji wobec Andrzeja Dudy za podobny tzw. delikt – nieuszanowanie wyboru trzech sędziów TK w 2015 r. i zorganizowanie na chybcika nocnego przyjęcia ślubowania od wybranych przez PiS „dublerów" – doprowadziło do ogromnego zamieszania w systemie prawnym Rzeczypospolitej i rozzuchwaliło poprzedniego prezydenta.

Plotki o Morawieckim

Po wysunięciu Przemysława Czarnka jako kandydata na przyszłego premiera sytuacja w PiS trochę się uspokoiła. Lecz nie do końca. Rywalizujące frakcje nie walczą ze sobą aż tak bezwstydnie jawnie, jak robiły to wcześniej, ale przeniosły swe zmagania z powrotem w zacisze gabinetów. Ostry kurs na prawo zaczął przynosić pewną – niewielką – poprawę notowań PiS w sondażach (zapewne kosztem obu Konfederacji). Odbijanie skrajnego, nacjonalistycznego, antyeuropejskiego elektoratu ma jednak swoją cenę: Prawo i Sprawiedliwość będzie musiało coraz bardziej stawać się „trzecią konfederacją".

Najwyraźniej nie w smak to Mateuszowi Morawieckiemu. Wie, że ci odzyskani sympatycy nigdy nie przedłożą jego ponad frakcję „maślarzy", Ziobrę, Mentzena, Bosaka i Brauna. Nie zasypia więc gruszek w popiele. Kontynuuje swą podróż po pisowskiej Polsce B. Zaskakuje partyjnych towarzyszy niespodziewanymi inicjatywami w rodzaju: zapowiedzi powołania nowego stowarzyszenia politycznego albo wzięcia udziału w debacie z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem podczas Europejskiego Forum Rolniczego w Jasionce koło Rzeszowa (było to 1 kwietnia br., ale to nie prima aprilis). W mediach i wśród analityków krąży opinia, że było to badanie gruntu pod wspólny start w przyszłorocznych wyborach. Morawieckiemu udało się – choć długo nic na to nie wskazywało – stworzyć pewną grupę zwolenników w ramach jego partii. Jednak raczej nie może być pewien powodzenia ewentualnego nowego projektu politycznego: wiele dobrze zapowiadających się podobnych inicjatyw okazywało się efemerydami lub wręcz nielotami. PSL z kolei wciąż nie osiąga w sondażach poziomu progu wyborczego, choć nieco się jego notowania poprawiły. Na papierze pomysł połączenia sił może więc komuś wydać się sensowny. Tym bardziej że ludowcy nie ustają w propozycjach de facto rozsadzających koalicję rządową, której są częścią. Ostatnio np. w postaci odgrzania projektu Nawrockiego o „polskim SAFE zero procent" w wersji lekko tylko zmodyfikowanej.

Jednak te dwa światy do siebie nie przystają. Wyborcy PSL nie będą głosować na coś, co mocno trąci PiS i to w wydaniu Morawieckiego, bankstera. Kaczyński nie dopuści do osłabienia swojej partii nawet o 2-3 punkty procentowe przed batalią o jego być albo nie być w polityce i w historii.

Jakub Jabłoński

eprasa.pl 9e8182a922

Uśmiech Gagarina

Pytanie do Czytelników po 50. roku życia: czy Wasze dzieci i wnuki wiedzą, kim był Jurij Gagarin?

Wy oczywiście wiecie, ale co z waszymi dziećmi i wnukami? Jeśli nie wiedzą, czy więc chociaż słyszały to nazwisko? Domyślam się, że Wasze dzieci słyszały. A co z wnukami?

Z ręką w nocniku

Na warszawskim Mokotowie istniała ulica Nowoparkowa. W czerwcu 1961 r. przemianowano ją na ulicę Gagarina, pierwszego człowieka w kosmosie. Jakiś czas temu krążyły pogłoski, że ulica Gagarina zostanie przemianowana na cześć drugiego polskiego kosmonauty Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego (a tak przy okazji, dlaczego nie pierwszego, Mirosława Hermaszewskiego?). Czy mróz w stosunkach rosyjsko-polskich rzeczywiście dotarł do kosmosu? Jeśli tak, to Jurij Gagarin nie ma z tym nic wspólnego. Wszak torował drogę w kosmos całej ludzkości, nieświadomy, że stanie się symbolem totalitarnego państwa radzieckiego.

Redaktor Darek Cychol zapewnił mnie, że nazwa ulicy Gagarina w Warszawie została zachowana. Setki placów, ulic i parków w różnych zakątkach planety Ziemia, którą Jurij Gagarin okrążył 12 kwietnia 1961 r. statkiem kosmicznym Wostok 1 w ciągu 108 minut, noszą imię pierwszego kosmonauty. Właśnie mija 65. rocznica pierwszego lotu człowieka w kosmos. Ta piękna w skali planetarnej data, która zapoczątkowała „erę kosmiczną” dla ludzkości, stała się źródłem kolejnej, jak się okazało absurdalnej, utopijnej, autorytarnej z natury, a często zbrodniczej w sposobach osiągania celu – 65 lat temu Związek Radziecki ogłosił początek „ery komunizmu”.

Jurij Gagarin, prosty chłopak ze wsi Kłuszyno w obwodzie smoleńskim, miał stać się wzorem „budowniczego komunizmu” dla milionów ludzi zarówno w ZSRR, jak i daleko poza jego granicami. Radzieccy ideolodzy planowali uczynić z Gagarina żywą legendę projektu „świetlanej przyszłości”. Absolwent szkoły zawodowej przerwał naukę w szkole średniej z powodu Wielkiej Wojny Ojczyźnianej i został pilotem testowym. Członek KPZR (niezniszczalnego braterstwa partii i ludu). Syn cieśli i dojarki (niezachwianej jedności klasy robotniczej i chłopstwa). W wieku 27 lat szczęśliwy ojciec dwóch córek. Gagarin został powołany do realizacji głównego celu nowego programu KPZR – „wychowania nowego człowieka”.

Uśmiech Gagarina rozgrzewał planetę. Stał się jednak również „ikoną” utopii: „Obecne pokolenie ludzi radzieckich będzie żyło w komunizmie!”. Aby urzeczywistnić utopię, niewiele potrzeba: celu i ogromnej wiary. Setki milionów ówczesnych ludzi wierzyło w to hasło. I zostali z ręką w nocniku.

Prezent od Nikity Chruszczowa

„Budowniczowie komunizmu”, „nowy człowiek przyszłości” na czele z pierwszym sekretarzem KC KPZR Nikitą Chruszczowem potrzebowali bohaterskiego czynu. Najlepiej pięknego, bez strzelaniny, bez czołgów w sennych zaułkach obcych miast, bez rzucania pod swoim adresem obelg. Gagarin tego dokonał. Wizja kosmonauty krążącego wokół globu, czy może być coś bardziej romantycznego?! Połączenie nauki i czegoś niepojętego, odległego, kuszącego, a zarazem zimnego, niedostępnego i tajemniczego jak gwiazdy. A nawet religijnego. Nic dziwnego, że Chruszczow, półżartem, półserio zapytał Gagarina przy kieliszku koniaku, czy widział „dziadka na chmurze”? To znaczy Boga. Gagarin uśmiechnął się. Stał się swego rodzaju pośrednikiem między grzesznym światem ziemskim i boskim. Ludzkość potrzebowała takiego bohatera. I go otrzymała.

Pierwszego kosmonautę uważano za bóstwo na Ziemi. Metaforycznie nim był. A w rzeczywistości? Na Zachodzie byli pewni, że Jurij Gagarin został milionerem po 108-minutowym okrążeniu globu. Według standardów radzieckich – może i był. Pozornie niegroźny dokument został odtajniony stosunkowo niedawno. 18 kwietnia 1961 r. podpisano Rezolucję Prezydium KC KPZR „W sprawie nagród dla towarzysza J.A. Gagarina i jego rodziny”. Dokument, podpisany przez Chruszczowa, stwierdzał: „1. W imieniu Rządu ZSRR należy podarować pierwszemu pilotowi-kosmonaucie ZSRR, majorowi J. A. Gagarinowi i członkom jego rodziny samochód Wołga, dom, meble i wyposażenie.

2. Zobowiązać Ministerstwo Obrony ZSRR do przydzielenia majorowi J.A. Gagarinowi czteropokojowego mieszkania w miejscu jego służby”.

Czteropokojowe mieszkanie w obwodzie moskiewskim, aczkolwiek na terenie jednostki wojskowej, w miasteczku kosmonautów Zwiezdnyj, z umeblowaną sypialnią, pokojem dziecięcym, gabinetem i jadalnią to wyjątkowy luksus. W mieszkaniu znajdowała się pralka, lodówka, odkurzacz, telewizor, pianino, radio Lux, charkowska golarka elektryczna, dywan i chodnik, sześć kompletów pościeli i dwa koce z wielbłądziej wełny.



Każdy z tych artykułów gospodarstwa domowego był towarem deficytowym w kraju wkraczającym w „erę komunizmu”, a rodzina pod jednym dachem była nieosiągalnym marzeniem przeciętnego obywatela ZSRR skazanego na życie w komunizmie. Nie wspominając już o podarowanej Gagarinowi Wołdze z Fabryki Samochodów Gorkiego, z figurką biegnącego w kierunku przyszłości jelenia. Do tego premia w wysokości 15 tysięcy rubli. Według ówczesnych standardów, była to równowartość 18-letniej pensji przeciętnego inżyniera.

Wojskowe, oficjalne słowo „sprzęt” w dekrecie podpisanym przez Chruszczowa dyskretnie ukrywało dżentelmeński zestaw dla „budowniczego komunizmu”. Aby zrozumieć, jak partia pojmowała poziom życia „obywatela świetlanej przyszłości”, pozwólcie, że wymienię co to było. Dwa palta i płaszcz przeciwdeszczowy, dwa garnitury, dwa komplety mundurów wojskowych, dwie pary butów, sześć koszul, sześć par majtek i kalesonów, sześć krawatów, dwanaście chusteczek do nosa, dwa kapelusze i para rękawiczek. Wyjaśniam: nawet dzisiaj 75 proc. populacji Rosji zazdrościłoby rodzinie Gagarina.

Chruszczow nie zaniedbał również krewnych Jurija Gagarina. Rodzice pierwszego kosmonauty dostali „prefabrykowany trzypokojowy dom”, meble, telewizor, radio i komplety ubrań. Żona Gagarina Walentyna była ubrana i obuta od stóp do głów. Córki otrzymały „posag dziecięcy”, którego zawartość nie została ujawniona. Oprócz posagu, były tam łóżka, wózek dla nowo urodzonej najmłodszej córki, ubrania i zabawki. Dwaj bracia i siostra bohatera otrzymali po tysiąc rubli, co stanowiło równowartość około siedmiomiesięcznej pensji przeciętnego inżyniera.

Jurij Gagarin opuścił grzeszną ziemię i 108 minut później wylądował w komunistycznym dobrobycie. Dotyczyło to jednak tylko jednej konkretnej rodziny – rodziny Gagarinów.

Ostatni lot

Uśmiech Gagarina był szerszy niż uśmiech prezydenta USA Johna F. Kennedy’ego. Co więcej, był naturalnie szczery. Dlatego stał się również symbolem „ery komunizmu”. W Rosji imię Jurija Gagarina nosi 5 218 ulic (więcej jest tylko ulic Lenina – 8 500). W rosyjskich miastach jest około stu jego pomników. Są też na Antarktydzie, w Buenos Aires, Betlejem, Hawanie, Dżakarcie, Cleveland, Londynie, Meksyku, Montpellier, Netanji, Pekinie, San Marino, a nawet w Houston w USA, niedaleko dawnej siedziby NASA. W ciągu pierwszych trzech lat po swoim locie Gagarin pojechał do około 30 krajów z „misją pokojową”. Spełnił marzenie ludzkości o ujrzeniu wszechświata z oddali, ustanawiając tym samym nowe standardy wolności. I ludzkość jest mu za to wdzięczna.

Po zdemaskowaniu kultu jednostki Stalina, lot kosmiczny Gagarina dał również obywatelom ZSRR iluzję całkowitego wyzwolenia. Niestety, kwietniowa odwilż była krótkotrwała.

Gagarin zginął 27 marca 1968 r. lecąc myśliwcem szkoleniowym MiG-15. Jego samolot wpadł w „korkociąg” i uderzył o ziemię. Teraz kraj Gagarina, w którego świetlaną przyszłość tak żarliwie wierzył, też jakby wpadł w „korkociąg” i coraz szybciej i szybciej leci ku nieuniknionemu…

Anton Arbatow, Moskwa

przekład Marta Hofman

eprasa.pl 9e8182a922

Bing-ding-bum

Wynoś się z Iranu, popieprzony bękarcie! W takiej trawestacji wielkanocnego bluzgu Trumpa jest z pewnością więcej sensu niż w oryginale.



Ostre zapalenie ośrodka władzy, objawiające się konfabulacją, megalomanią i groźbami. Świąteczny atak furii Trumpa potwierdza taką diagnozę schorzenia toczącego USA. Podobne (choć bardziej parlamentarne) było jego przemówienie z 1 kwietnia, choć niestety nie było dowcipem primaaprilisowym.

Portal Zeteo przytoczył komentarz „wysokiego rangą oficjela" ekipy Trumpa: „Choćby nie wiem jak pesymistycznie myśleć o przebiegu tej wojny, jej realia są jeszcze gorsze". Zgadza się inny „wysoki rangą" notabl: „Nikt nie kupuje naszych usiłowań przedstawienia tej wojny jako wielkiego zwycięstwa". Prawicowy portal The Bulwark osłupiał. „To przemówienie było obłąkane – stwierdziła jego szefowa Sarah Longwell. – Nasz prezydent to lunatyk. Jest również matołem z bardzo niskim IQ". Szoku nie kryją media zagraniczne: „Co to, kurwa, miało być?!" – pytał bezradnie Andrew Feinberg, korespondent przy Białym Domu brytyjskiego „The Independent".

Wszystko, co Trump zawarł w przemówieniu, było powtórką wcześniejszych komunałów i kłamstw. Jedyna nowość to groteskowa teza, że Cieśnina Ormuz odblokuje się „w naturalny sposób". Dzień po przechwałkach o kompletnym zmiażdżeniu obrony powietrznej Iranu zestrzeliła ona myśliwiec F-15; w dwóch następnych dniach Amerykanie stracili kolejne trzy. Wywiad USA oznajmił, że 50 proc. irańskiego potencjału rakietowego jest wciąż w stanie gotowości bojowej, a zniszczone wyrzutnie są naprawiane w ciągu kilku godzin.

„Bing-bing-bing-bum! Już po nim, to zdumiewające!". Tak Trump na wiecu MAGA opisywał napaść na Iran (alias „małą wycieczkę, podróż"). Wiedział dokładnie, co robić: „Bing-bing-bing, odpalić rakiety, odpalić rakiety! Khhh! Bum!". Nie wszystko poszło, jak myślał. Rozważa rzucenie wojsk: „Ding-ding-ding – halo, gdzie mam posłać tych ludzi?". Jaka szkoda, że komercyjne telewizje poskąpiły tej relacji Amerykanom…

Jeśli ktoś sądzi, że w jego wypowiedzi jest zbyt dużo infantylnych onomatopei, a za mało polityczno-militarnego uzasadnienia, nie jest to tylko wina Trumpa. Co rano szefowie wywiadów i sił zbrojnych przygotowują dlań dwuminutową relację. Wcześniejsi prezydenci mieli wywiadowcze briefingi, podczas których przedstawiane były wydarzenia zza kulis. Trump nie ma cierpliwości do czytania raportów. Doradcy bali się prezydenckich ataków furii, jednak aby do szefa dotarło cokolwiek z globalnych wydarzeń, do których powinien się ustosunkować, pichcili potrawkę z ruchomych obrazków okraszanych wazeliną. Po napadzie na Iran są to filmiki przedstawiające spektakularne eksplozje z poprzedniej doby. Towarzyszą im pochlebstwa: wielki strateg, genialny wizjoner. Trumpowi wybuchy tak przypadły do gustu, że jął je umieszczać na swym portalu Truth Social.

Rozłam w kulcie

Naczelni aparatczycy Hegseth i Rubio oraz prawicowi propagandziści usiłują tą samą strawą karmić widownię MAGA. Nie jest to tak prostackie, jak można by mniemać. Twórcy przekazu adresują go do dokładnie rozpracowanego wirtualnego odbiorcy, który oczekuje umocnienia wiary w idola. Choć mają na oku i szerszą widownię. Powszechnie znane enuncjacje Goebbelsa o skuteczności wielokrotnie powtarzanego kłamstwa umacniają współczesne badania ludzkiej percepcji. Naukowcy z Uniwersytetu Kalifornijskiego wykryli w 2004 r., że przeciętny Amerykanin ma zdolność koncentracji uwagi przez 2,5 minuty. Do 2012 r. ów czas skurczył się do 75 sekund, obecnie wynosi już tylko 40 sekund. Republikańscy operatorzy propagandowi formułują komunikaty tak, że fragment wstępny – zaprojektowany jako pożądana pigułka polityczna do gładkiego przełknięcia – mieścił się w owych 40 sekundach. Sprawdza się to szczególnie w odniesieniu od odbiorców gorzej wykształconych i zaawansowanych wiekowo. Przyswajają papkę przez 40 sekund i wyłączają się przy ciągu dalszym, wymagającym wysiłku umysłowego.

Ta metoda narodziła się – przypomina prof. Todd Belt z Uniwersytetu George'a Washingtona – w latach 80., kiedy media audiowizualne USA przestały być traktowane jako źródła informacji i komentarzy. Stały się firmami generującymi profit (głównie z reklam) dla posiadających je korporacji. Czas przeznaczony na komunikaty polityków skurczył się z 40 do 9 sekund, co zmusiło pretendentów do stanowisk wybieralnych, by formułowali i powtarzali krótkie, chwytliwe hasła.

Metoda spisywała się dotąd dobrze, lecz okazało się, że tryb funkcjonowania mózgów odbiorców zmieniło mocne i jednoznaczne hasło „wojna". Dotarło do wszystkich, szczególnie do MAGA-populacji, wielbiącej Trumpa za wcześniejsze ślubowanie rozbratu z zagranicznymi konfliktami i obietnice skupienia się na wewnętrznych problemach Amerykanów. W efekcie kult MAGA rozłamał się na dwie części. Bardziej zabetonowana trwa w wierze w swojego idola. W umysłach mniej odmóżdżonych narodził się sceptycyzm; rozrósł do rozczarowania i sprzeciwu. Miała być „America First", a tu kolejna wojna!… 62 proc. Amerykanów potępia napad na Iran, 70 proc. sprzeciwia się inwazji lądowej.

Waterloo Trumpa

Także populistyczno-nacjonalistyczne apele Trumpa, dotąd dość skuteczne w otumanianiu milionów, utraciły nośność w zderzeniu ze słowem „wojna". Amerykanie nie zapomnieli, jak w 2003 r. szef Pentagonu Rumsfeld obiecywał, że rozprawa z Irakiem potrwa najwyżej 6 miesięcy. Trwała ponad 9 lat. Do 2006 r. zginęło ponad pół miliona ludzi, w tym 4 500 żołnierzy USA. Wojna miała kosztować 40 miliardów, a pochłonęła 3 biliony dolarów. Eksperci ostrzegają, że teraz może być znacznie gorzej. Wojna w Iranie połyka ponad 1,3 mln dol. – w ciągu minuty. Pod koniec lutego porozumienie było w zasięgu ręki – twierdzi główny mediator między Stanami a Iranem, minister spraw zagranicznych Omanu. Jednak namowy Netanjahu zwyciężyły. Trump, po raz drugi w ciągu roku, zerwał negocjacje i zaatakował.

Mistyfikacje i megalomańskie kłamstwa Trumpa od początku nie robiły wrażenia na władzach irańskich. Zamiast doszukiwać się w nich sensu, postawiły na intensywne, lecz maskowane zbrojenia. Od 40 lat Iran wiedział, że prędzej czy później Ameryka nań napadnie. Jak wyjaśnia profesor studiów bliskowschodnich Amin Saikal z Uniwersytetu Victoria, opracowano strategię zwaną obroną mozaikową, formę wojny asymetrycznej, która niweluje ogromną militarną przewagę USA i Izraela. Zdecentralizowano system dowodzenia. Gdy atak stał się faktem, Iran był gotowy, zaś Trump i jego prawicowi guru kompletnie zaskoczeni siłą oporu. Spodziewali się powtórki Wenezueli…

„Trump w końcu trafił na kogoś, kto stawił mu czoła – stwierdza dr Gwenda Blair z Uniwersytetu Columbia. – Iranu nic nie obchodzi sława Trumpa, jest dumny ze swej historii i nie zamierza padać na klęczki". Były podsekretarz stanu Joel Rubin wskazuje, że wiara Trumpa w swą omnipotencję doprowadziła go do fundamentalnego niezrozumienia mechanizmów wojny: „On wierzy, że siłą umysłu można kontrolować bieg zdarzeń, modelować ich percepcję. Irańczycy na to gwiżdżą; wierzą w sprawdzone metody wygrywania wojen". Prof. Larry Jacobs, politolog z Uniwersytetu Minnesoty prognozuje, iż „Iran będzie Waterloo Trumpa; unicestwi jego mit". Szczególnie jeśli Trump zdecyduje się na inwazję lądową.

Michael Eisenstadt, dyrektor z Waszyngtońskiego Instytutu Polityki Bliskowschodniej ostrzega, że próba zajęcia Wyspy Kharg jest „bardzo ryzykowna". Wtóruje mu gen. Joseph Votel, były dowódca US Central Command w Tampie: zajęcie i próba okupacji wyspy sprawią, że wojska USA będą „bardzo, bardzo narażone na ataki dronów i rakiet". „Trump żyje w rzeczywistości alternatywnej – mówi prof. Lawrence Freedman z King's College London. – Świadczą o tym jego urojenia, coraz bardziej ze sobą sprzeczne i niespójne wypowiedzi. Trump sam sobie dał szacha-mata".

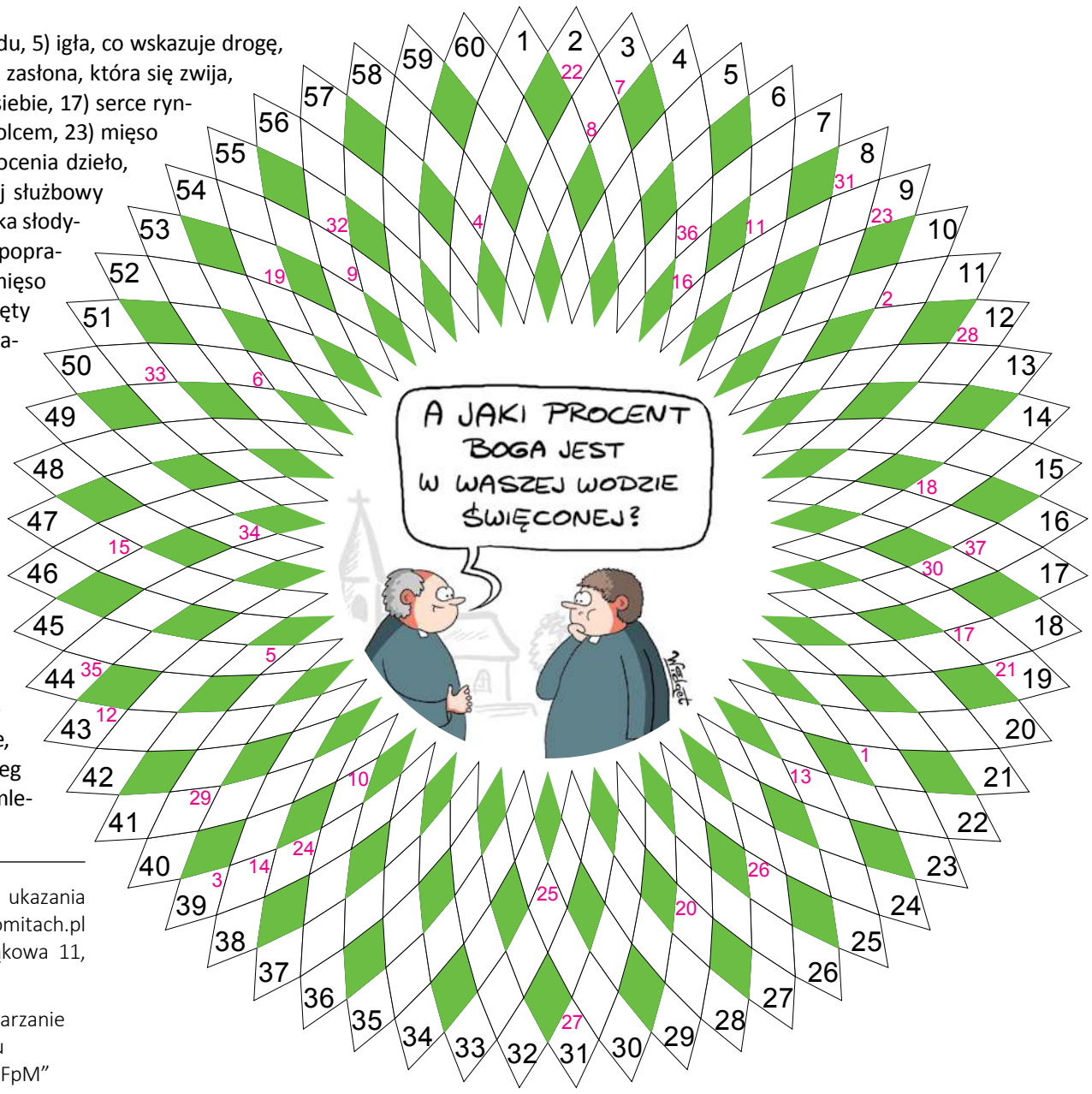
Terroryzm jest definiowany jako przemoc lub jej groźba skierowane przeciwko ludziom lub dobrom materialnym w celu propagowania jakiejś ideologii. „Prezydent USA jest terrorystą i cały świat o tym wie – stwierdza ekonomista noblista Paul Krugman. – Mamy jeszcze szansę pokazać światu, że Trump jest aberracją, że Ameryka nie jest narodem terrorystów".

Janusz Zawodny, Tampa (Floryda)

eprasa.pl 9e8182a922

Lewoskrętnie:
1) drga pod palcami muzyka, 3) wybuch radości bez powodu, 5) igła, co wskazuje drogę, 7) morska zmiana przy sterze, 9) burak z charakterem, 11) zasłona, która się zwija, 13) zimno kupione od cara, 15) coś, co się zachowuje dla siebie, 17) serce rynku miejskiego, 19) jak mówisz, tak cię słyszą, 21) słowa z kolcem, 23) mięso po ciosach, 25) najmniejszy na szachownicy, 27) patrzy i ocenia dzieło, 29) miękki pod skórką, 31) przy pasie szlachcica, 33) strój służbowy z rangą, 35) piana z jajka, 37) złoto, co nim nie jest, 39) pestka słodyczy, 41) czarne paliwo ziemi, 43) coś, czego się trzyma, 45) poprawia rzeczywistość na zdjęciu, 47) obrót w powietrzu, 49) mięso w paski, 51) piecze nie tylko w język, 53) aromat zamknięty w winie, 55) dźwięk uznania z widowni, 57) dom bez fundamentów, 59) chwila krótsza niż myśl.

Prawoskrętne
2) miejsce, skąd pada kazanie, 4) dolna część szczęki, 6) ciśnienie groźne dla oka, 8) daje iskrę w silniku, 10) ściska talię, 12) wynik po dzieleniu, 14) zasady dla zakonników, 16) pieniądze na zabezpieczenie, 18) pierścień z inicjałami, 20) ozdoba przy kluczach, 22) wróg drewnianych belek, 24) ten, co wygrywa, 26) spojrzenie w przyszłość, 28) domowa produkcja procentów, 30) narzędzie, co wychodzi z worka, 32) skórzany magazyn na płyn, 34) nie zawsze taki straszny, 36) mały garnek, 38) twarz mówi bez słów, 40) ciasto jak pień drzewa, 42) futerał na broń, 44) sito do makaronu, 46) woda z nieba, 48) miejsce dla załogi na jachcie, 50) końcówka biegu, 52) melodia z zegara, 54) krótki bieg na maksimum, 56) plansza barw malarza, 58) warstwa na mleku, 60) siłacz z areny.



Rozwiązania krzyżówki prosimy nadsyłać w terminie 7 dni od ukazania się aktualnego numeru „FpM” na adres: krzyzowka@faktypomitach.pl lub pocztą pod adresem redakcji: „Fakty po Mitach”, ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź (biurowiec Tower Building).

Przesyłając rozwiązanie krzyżówki wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez administratora w celu przeprowadzenia konkursu/krzyżówki, w tym publikacji w „FpM” imienia, nazwiska i miejscowości zwycięzcy. Regulamin na stronie www.faktypomitach.pl

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 13/2026:
„MA SMAŻALNIĘ RYB W KOŁOBRZEGU”.
Nagrody otrzymują: Tadeusz Kowalski z Czerska, Wiesława Janas ze Ślesina, Ryszard Zemełko ze Strzelec Opolskich.

Rozmawiają dwie matki i jedna mówi:
– Moja córka ma tylko piątki i szóstki!

– 1 2 | 3 4 5 6 | 7 8 9 10 11 12 13 14 15 | 16 17 18 19 20 21 22 23
24 25 26 | 27 28 29 | 30 31 32 33 34 35 36 37 .

Kompania bobrów

Tuż przed minionymi świętami mieszkańców polsko-białoruskiego pogranicza obiegła plotka, jakoby prezydent Aleksandr Łukaszenka próbował przy pomocy komandosów i specjalnie szkolonych migrantów, sforsować płot i wtargnąć na terytorium Polski.

Dowodem na to miały być masowe wystrzały, których dźwięk dobiegał od strony Republiki Białoruś. Ludzie opowiadali sobie, że doszło do pierwszych potyczek polskich pograniczników z białoruskim wojskiem oraz „ciapatymi” i że nasi dzielni chłopcy musieli użyć ostrej amunicji.

Sprawa wydała się na tyle poważna w lokalnym odbiorze społecznym, że podlaska Straż Graniczna musiała zdementować ten fejk. „Odgłosy nie były związane z działaniami prowadzonymi przez polskich funkcjonariuszy” – uspokajano naród w serwisie internetowym Bielsk.eu. „Zwrócono jednocześnie uwagę, że po stronie białoruskiej w pobliżu granicy znajdują się obiekty szkoleniowe, w tym strzelnice. Odbywają się ćwiczenia białoruskich służb mundurowych. Niewykluczone więc, że słyszane strzały były efektem prowadzonych tam szkoleń, a nie przejawem jakiejkolwiek agresji. W ostatnim czasie białoruskie służby intensyfikują działania szkoleniowe. Walery Rewenko, zastępca ministra obrony Białorusi, poinformował, że na 2026 rok zaplanowano aż 920 wydarzeń z udziałem wojska” – wyjaśnił portal. No i chyba nie ma się co dziwić ludziom, że uwierzyli w wybuch wojny, skoro rząd taką ciągle straszy. Dobrze, że nie zaczęli do siebie strzelać. Z innej strony – skoro wojna wybuchła, a białoruskie wojska nie zajęły Hajnówki, Sokółki ani Bielska, to chyba ją wygraliśmy…

Według opinii polityków KO i ich akolitów w rządzie, wojenka z Łukaszenką i Putinem wisi w powietrzu, więc armia na Podlasiu nie śpi, tylko zawczasu, nawet bez kasy z SAFE, buduje na granicy umocnienia. I to, trzeba przyznać, sprytne. Wojska Obrony Terytorialnej i Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska pracują aktywnie w Puszczy Białowieskiej, aby zatrzymać w niej wodę. Ma to poprawić „nawodnienie siedlisk przyrodniczych, ale również utrudni przekraczanie tego terenu przez ewentualnych agresorów ze Wschodu, co wpisuje się w koncepcję Tarczy Wschód” – jak entuzjastycznie doniosła „Gazeta Wyborcza”. Z tego co wiemy, posługują się tam techniką bobrów, ale nie słychać jeszcze o planach wcielenia tych zwierząt do armii.

Wacław Jerzy Koniecpolski

eprasa.pl 9e8182a922



Nie było w średniowieczu bardziej luksusowego produktu od szafranu.

Bill Laws „50 roślin, które zmieniły bieg historii”

Słoneczna przyprawa



Wiosna! Dopiero co minęła Wielkanoc, a z nią wszechobecny żółty kolor: kurczaczki, jajka w majonezie, no i żonkile, które dekorowały stoły i ogrody. A tu już przekwitają forsycje. Wprawdzie jeszcze będzie wiosennie i przez jakiś czas nie zabraknie takich żółtych kwiatów, jak: kaczeńce, ziarnopłony wiosenne i mlecze (i tu zaraz moja przyjaciółka, botanik, mnie poprawi – mniszki lekarskie). Jednak gdybyście po tak długiej zimie potrzebowali więcej słonecznego żółtego, to dziś proponuję Wam szafran.

Najcenniejszy

Nazwa szafran pochodzi z arabskiego – za faren, czyli „żółty” lub jest zarabizowaną wersją perskiego słowa zarparān, czyli o „o złotych znamionach”. Ta najcenniejsza przyprawa świata jest dziesięć razy droższa od wanilii i pięćdziesiąt razy od kardamonu. Dlaczego? Pochodzi z niebiesko-fiołkowych kwiatów krokusa uprawnego, każdy kwiat ma tylko trzy pomarańczowo-czerwone nitkowate znamiona słupka, które trzeba zebrać ręcznie. Aby uzyskać jeden kilogram szafranu, potrzeba znamion ze 150 000 do 200 000 kwiatów, a że są leciutkie, to w 125 g jest ich ok. 20 000.

Szafran budził namiętności, zajmując ważne miejsce w kulturze kulinarnej oraz medycznej. Za jego fałszowanie groziły wysokie kary, łącznie ze śmiercią. A przecież szafran wcale nie pachnie oszałamiająco – to takie skrzyżowanie aromatu trawy, a właściwie siana z czymś ostrym. Ale gdzież mu tam do upojnej woni siana schnącego na mojej łące. A smak? Lekko gorzkawy. Fakt, jest aromatyczny, ale – jak mawia młodzież – niczego raczej nie urywa… Zawiera złocistożółty barwnik, którym można barwić potrawy. I nie tylko. Ale w przyrodzie są zdecydowanie tańsze i łatwiej dostępne naturalne zamienniki. Choćby taka kurkuma!

Szafran (*Crocus sativus* L.) w stanie dzikim nigdzie nie występuje. Trudno jednoznacznie stwierdzić, gdzie i kiedy został udomowiony lub wyhodowany. Przede wszystkim nie ma żadnych pozostałości krokusów z tak odległej przeszłości, więc nie ma możliwości przeprowadzenia porównań.

Po raz pierwszy barwnika z krokusów użyto około 50 tys. lat temu w rysunkach naskalnych. Niektórzy uczeni sądzą, że może pochodzić z Azji Mniejszej albo znad Morza Kaspijskiego. Choć najpewniej jest mutacją Crocus Cartwrightianus, dzikiego gatunku pochodzącego z Grecji, wyselekcjonowanego i udomowionego na Krecie w późnej epoce brązu. Dowodzą tego freski odkryte przez archeologów w tamtych rejonach. W pałacu w Knossos na fresku datowanym na lata 1600-1500 przed naszą erą widać młodzieńca zbierającego szafran, ale… Najlepiej opisał to Zbigniew Herbert w „Labiryncie nad morzem”: „Chłopak zbierający szafran – niewielkie malowidło ścienne, odkryte w części północno-zachodniej pałacu w Knossos i odrestaurowane przez Gilliérona według wskazówek samego Evansa. Później wybitny znawca sztuki minojskiej (…) odkrył, że ciało owego zbieracza szafranu ma dość dziwny kształt, a poza tym malowane jest kolorem błękitnym, nigdy nie stosowanym w przedstawieniach postaci ludzkiej. Potem odkryto jeszcze drobne fragmenty, kawałek ogona, kwiat krokusa i wreszcie błękitną, nieczłowieczą głowę. I tak Chłopak zbierający szafran stał się Małpą w ogrodzie pałacowym”. Na szczęście, freski z Akrotiri na Santorynie już nie budzą wątpliwości. Widoczne na nich młode kobiety zbierają krokusy, co może być wskazówką na pochodzenie tej przyprawy.

Bogata przeszłość

Szafranu używały ludy w basenie Morza Śródziemnego; początkowo monopol na handel nim mieli Fenicjanie. Później przejęli go Persowie i rozpowszechnili szafran, eksportując go do Indii i Chin, gdzie w VII w. stał się składnikiem perfum i leków. W sumeryjskich, asyryjskich i babilońskich tekstach znajdują się opisy użycia szafranu w medycynie. Starożytni Grecy cenili go za afrodyzjakalne właściwości, używali do farbowania tkanin, a przede wszystkim jako farby do włosów. No cóż, żółty kolor był symbolem statusu, ideałem piękna, kojarzył się z władzą, ale i oświeceniem. Perscy władcy nosili żółte trzewiki. Szaty buddyjskich mnichów mają szafranowy kolor.

W nowożytnych czasach szafran był także symbolem luksusu, zwłaszcza gdy handel nim przejęła Wenecja i Genua. A kiedy jeszcze w XIV wieku do Europy z Azji przyszła czarna śmierć i ktoś uznał, że szafran to najskuteczniejsze panaceum na dżumę, zapotrzebowanie na niego gwałtownie wzrosło. Niestety, najwięksi europejscy plantatorzy z Hiszpanii zmarli… na dżumę, więc zaczęto sprowadzać go z wysp Morza Śródziemnego, np. z Rodos i Krety, oczywiście, na weneckich i genueńskich łodziach. Stało się to okazją do szafranowego piractwa. Przyprawa była tak cenna, że podczas napadu na jeden ze statków zrabowano ładunek, którego wartość w przeliczeniu na współczesne pieniądze, to, bagatela! 420 tys. euro! No i zaczęła się regularna, szafranowa prawie wojna, która trwała kilka miesięcy. To właśnie wtedy za fałszowanie szafranu wprowadzono karę śmierci. W efekcie tych zawirowań jego europejską stolicą stała się Bazylea, potem Norymberga, gdzie przez jakiś czas z powodzeniem go uprawiano. Uprawy próbowano nawet we wschodniej Anglii, gdzie miasteczko Cheppinge Walden w Essex pod koniec XV w. zmieniło swą nazwę na Saffron Walden.

Szafran ceniono i u nas, w Polsce; był symbolem statusu, stosowano go w kuchni szlacheckiej i magnackiej, dodając do bab, flaków, ryb. Przestał być modny dopiero za czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego.

W medycynie

Szafran w nadmiarze jest toksyczny, wywołuje wymioty, biegunkę, krwawienia, grozi poronieniem, ponieważ wywołuje skurcze macicy. A 20 g może nawet zabić.

Ta liczba kwiatów, z której pochodzi, świadczy – zdaniem specjalistów od medycyny Wschodu – o jego niezwykle silnym działaniu energetycznym. Może dlatego w Chinach używa się szafranu do łagodzenia depresji, uspokojenia umysłu, poprawy nastroju, wsparcia witalności, wzmocnienia energii życiowej. Dodam jeszcze, że gdzieś czytałam, iż ludzie o skłonności do depresji preferują żółty kolor.

Współczesna psychofarmakologia dostrzegła, że podobno szafran działa antydepresyjnie, antystresowo, psychostymulująco, usprawnia zapamiętywanie i odtwarzanie informacji, poprawia koncentrację. Poza tym ma też działać żółciopędnie, antyseptycznie, poprawiać czynności przewodu pokarmowego, obniżać poziom cholesterolu we krwi, hamować rozwój miażdżycy, wzmagać ukrwienie narządów płciowych (!). Trwają badania nad jego działaniem antynowotworowym.

Kuchnia

Szafran jest szczególnie popularny w Centralnej Azji i Północnych Indiach, w Hiszpanii dodaje się go do paelli, ryb i ryżu, we Włoszech do risotta, znajdziecie go w skandynawskim słodkim chlebku, bułeczce z rodzynkami i… śledziach, w angielskim cieście szafranowym, a we Francji w likierze Chartreuse.

No i znów zabrakło mi miejsca, ale spróbujcie krótko o przyprawach. Nie da się! Za tydzień – obiecuję – skupię się na gotowaniu. Z przyprawami, oczywiście.

Pozdrawiam słonecznie. ●

eprasa.pl 9e8182a922

Hymn o zupie



Z gadziej perspektywy

Coraz bardziej zazdroszczę Wietnamczykom zupy Pho. Wymawia się jej nazwę inaczej niż pisze, tak między „ Fo" a „Fa". Jada się ją w Wietnamie też inaczej niż w Polsce.

Można ją jeść na obiad, który tam spożywa się o godzinie 12. Warto to wiedzieć, zwłaszcza kiedy umawiamy się z Wietnamczykami na lunch. Wietnam to nie Szwajcaria albo Hongkong. Nie ma tam podobnych, bezlitosnych rygorów punktualności. Jednak obiad w Wietnamie zaczyna się o 12 i w tym wypadku nie wypada umawiać się na niego później. Nie można też spóźniać się, zmuszając miejscowych przyjaciół do czekania na nas z jedzeniem. Pamiętajcie zatem, że o godzinie 12 Wietnamczycy czują się naprawdę głodni. Każda zwłoka w jedzeniu wywołuje u nich co najmniej złość.

Zupą Pho można też rozpocząć dzień. Zjeść jej porcję, zwykle mniejszą niż obiadowa, na śniadanie. Już o szóstej rano. Daje cenną energię ruszającym do pracy. Lubię ją wtedy jeść. Zwłaszcza kiedy mieszkam w „wietnamskim" hotelu, gdzie nie serwują wyboru europejskich dań śniadaniowych. Kiedy alternatywą jest ta ohydna owsianka chao, jedno z nielicznych dań azjatyckich, które mój organizm zwyczajnie odrzuca.

A zupę Pho mogę jeść codziennie. Nawet kiedy nie potrzebuję porcji energii do pracy. Kiedy wstaję raniutko jedynie po to, aby się potem dłużej byczyć. Mogę jeść Pho ze smakiem, bo nauczyłem się zupowej kreatywności. Wiem już, że standardowo podaną zupę można dodatkowo przyprawiać. Wedle wiedzy i aktualnego nastroju. Mogę przyprawić ją wedle smaku preferowanego na północy kraju. Wtedy subtelnie, aby uszanować zaproponowany przez kucharza smak. Dodać jedynie odrobinę szczypiorku, plasterków cebuli i octu czosnkowego.

Ale mogę też zrobić sobie Pho południowe. Najpierw wcisnąć sok z limonki, a potem już nie żałować zieleniny. Bazylii tajskiej, kiełków fasoli mung, kolendry i wszystkich dostępnych ziół. Potem chlapnąć sos chili i sos hoisin.

A jeśli dopisze mi nastrój, to jeszcze do każdego z wariantów Pho dodam trochę stylu Hue. Tradycyjnej kuchni cesarskiej. Talerz „malowany" kompozycją z ziół, plastrów mięsa i sosów.

Z kronikarskiego obowiązku dodam, że obiadowa Pho wzmacnia na resztę dnia, a wieczorna na noc. A jeśli usłyszysz Wietnamki narzekające, że w domu ostatnio miały tylko „ryż", to znaczy, że seks dalej z tym samym mężem. Kiedy zaś pojawia się info, że wczoraj zjadłam Pho na mieście, to każdy wie, o czym plotkują. Ryż to symbol stabilizacji, ale i monotonii. Pho dopuszcza różnorodność pomimo klasycznej formy.

Zupa biedaków

W Polsce zupę Pho spolszczyła i wylansowała młódź melanżująca. Po nocnych klubowych uciechach jeździła o czwartej rano na otwierające się wtedy wietnamskie bazary. I tam w małych barach opychała się prawdziwą Pho, gotowaną dla wietnamskiego ludu pracującego.

Jak wiele wykwintnych dziś dań, Pho powstała jako zupa biedaków. Rosół gotowany przynajmniej przez dwanaście godzin na kościach bawołów lub wołów. Oskrobanych starannie z mięsa. Dziś mistrzowie kuchni głoszą, że chodziło o pozyskanie zdrowego kolagenu i osiągnięcie niepowtarzalnego smaku. Mnie przekonuje opinia wietnamskich babek, że wtedy każdy wiór pozyskanego mięsa był wykorzystywany do innych dań. Czasem wracał do zupy. Bo do takiego rosołu dodawano wszystko, co w domu było.

Z biegiem lat utarło się, że niezbędnym składnikiem zupy jest szeroki makaron ryżowy banh pho, który nadał nazwę zupie. Jeśli zobaczymy w menu Pho bo, będzie to zupa z wołowiną. Możemy trafić na Pho cha, czyli z klopsikami, lubię Pho long z podrobami, bardzo często bywa Pho ga, czyli gotowana na kościach kurczaka i z wkładką jego mięsa.

Dziś w Wietnamie zjemy przeróżne warianty Pho. Od moich ulubionych, serwowanych na ulicach, po zdobiące menu szpanerskich restauracji.

W Hanoi jest knajpa, gdzie jadł ją prezydent USA Barack Obama oprowadzany przez artystę kulinarnego Antoniego Bourdaina. Pozostawili po sobie zdjęcia upamiętniające historyczny akt amerykańsko-wietnamskiego pojednania gastronomicznego. Potem knajpie przybyło gości i stolików na kolejnych piętrach. Najbardziej oblegany jest „stolik Obamy", gdzie wszyscy robią sobie selfie. Jedynie smakosze krzywią się, że zrobiła się tam masówka i dawne smaki wyparowały.

Posilna i przymilna

Z biegiem lat sława zupy Pho rosła. Widziałem niedawno dwa filmy z jej udziałem w tytule. „Smak pho", to kameralny film nakręcony w Polsce przez japońską reżyserkę Mariko Bobrik. Opowiada o mieszkającym u nas wietnamskim kucharzu. Tradycyjnie gotującym Pho i podobnie starającym się wychować nastoletnią córkę. Opierającym się komercyjnej nowoczesności.

Drugi to wchodzący teraz na ekrany „Zapach Pho". Wietnamski film w reżyserii Minha Beta. O konkurencyjnych, sąsiadujących restauracjach Pho walczących o zachowanie tradycji i wychowanie następnych pokoleń mistrzów kuchni. O sporach rodzinnych, misternych intrygach. Kino rodzinne dosmaczone lokalnym folklorem. Dobre do rodzinnego oglądania w czasie święta Tet. Promujące przy okazji wietnamską kulturę kulinarną.

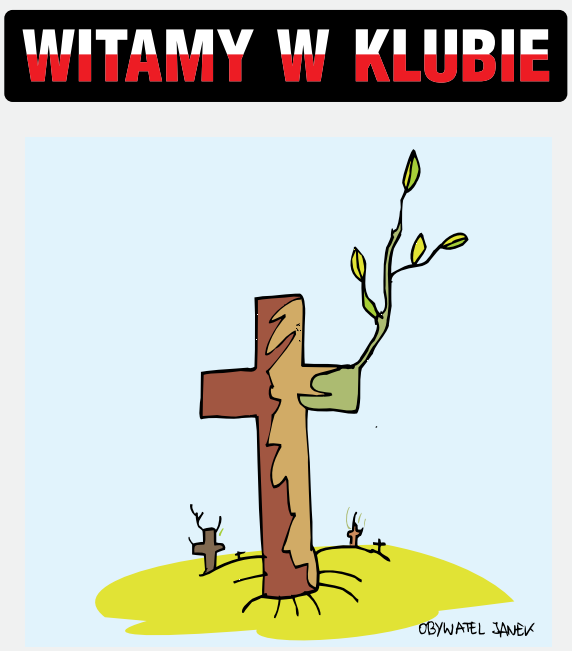
W 2023 roku zarejestrowano w Brukseli międzynarodowe stowarzyszenie WE LOVE PHO, zajmujące się promocją tej zupy na świecie.

Zazdroszczę Wietnamczykom nie tylko smaku Pho. Przede wszystkim rosnącej światowej sławy tej zupy. Patrząc na talerz polskiego rosołu, żurku, a zwłaszcza zalewajki, kartoflanką w Warszawie zwanej. „Z wszystkich zup nam najlepiej smakowała / Przyprawiona z umiarem acz pikantna / Taka posilna taka przymilna / Kartoflanka kochana kartoflanka", od razu przypomina się smaczna piosenka Wojciecha Młynarskiego.

Ale poza nią polskie zupy mają gorszą promocję niż wietnamska Pho. O wspaniałej promocji francuskiej cebulowej, hiszpańskiego gazpacho szkoda wspominać. Dziś rumuńska ciorba ma lepszy pijar niż nasza zalewajka. Nawet występująca jako Creamy Potato Soup. Czy na to nie zasługuje?

Teraz zapomnijcie o wielkanocnej wyżerce i jedzcie zupy. Jedzcie zupy, bo bez zupy cały obiad jest… niesmaczny.

Piotr Gadzinowski



W Najtklubie, w którym cieciuję, wzmożony, poświąteczny ruch. Ojciec Oktan, Proboszcz Naszej Parafii, właściciel wielu okolicznych biznesów i Najtklubu, właśnie zarządził przed ponownym otwarciem Wielkie Porządki. Lokal drzewiej był już na krótko otwarty, lecz skąpy klecha zamknął go, gdy tylko przyszło zimno i konieczność ogrzewania mojego miejsca pracy. Teraz już jest w miarę ciepło i wszystko wskazuje, że niebawem zaczniemy działać. Na razie koncentrujemy się na postawieniu ogródka piwnego. Dziwny to ogródek przyznam bez ogródek, gdyż miejsce mobilnego baru zostało wyznaczone na podwyższeniu, do którego prowadzi parę schodków. A i ławy piwne ustawione zostały w półkolu centrycznie rozchodzącym się od wcześniej wspomnianego. Zrobiło się tego z siedem rzędów, przy czym rząd pierwszy składa się z trzech ław, a ostatni już z dwudziestu ośmiu. Wygląda to raczej na mały amfiteatr, a nie świątynię rozrywki. Okazało się, że klecha od lat zatrudnia tego samego pobożnego i uduchowionego architekta, który projekty budowlane i aranżację wnętrz z przyzwyczajenia już wykonuje w stylu sakralnym i z taką samą ergonomią, cechującą obiekty stworzone ku wielbieniu Pana. Oktan jest zadowolony z architekta, gdyż jego realizacje dają możliwość przeskakiwania z biznesu boskiego do prywatnego bez konieczności adaptacji nowych pomieszczeń i przestrzeni.

I słusznie. Co prawda ten pierwszy ma już ponad dwa tysiące lat, ale *biznes ys biznes*. I to dobry.

OBYWATEL JANEK

eprasa.pl 9e8182a922

Spod kardynalskiego kapelusza

Proces przełomu(5)

W tarnowskim sądzie nadal toczy się proces karny przeciwko obecnemu ordynariuszowi tarnowskiemu bp. Andrzejowi Jeżowi. Prokuratura zarzuca mu, że zbyt późno powiadomił organy ścigania o seksualnym wykorzystywaniu dzieci i młodzieży poniżej piętnastego roku życia przez duchowieństwo diecezji tarnowskiej.



Kuria tarnowska powiadomiła te organy, ale – według prokuratury – trzy lata po tym, jak kurialni urzędnicy podjęli swoje działania w tej sprawie. Osobiście uważam, że nie były to „tylko" trzy lata, a stosowną wiedzę mieli znacznie wcześniej. Skąd ta rozbieżność?

Znany, utytułowany dewiant

Seksualny oprawca dzieci i młodzieży, były już kapłan ks. Stanisław P., należący do tarnowskiej diecezji, wykorzystywał dzieci w wielu placówkach, w których pracował. Był wielokrotnie przenoszony z parafii do parafii. Mało tego, w latach dziewięćdziesiątych XX w. został nawet proboszczem w Woli Radłowskiwej koło Radłowa. Tam także dokonał kolejnych przestępstw z udziałem małoletnich poniżej piętnastego roku życia. W 2002 r. został przymusowo urlopowany, a po roku wysłany do diecezji Kamieniec Podolski w zachodniej Ukrainie, gdzie wykorzystał seksualnie kolejne małoletnie ofiary. Mimo to, wysyłano go tam jeszcze co najmniej dwa razy i podczas każdego jego pobytu dochodziło do takich samych dramatów. Jak więc teraz tarnowscy dostojnicy kościelni mogą twierdzić, że dopiero dziewięć lat temu dowiedzieli się o dewiacjach ks. Stanisława P.? Powiadomili organy ścigania na przełomie 2020-2021 roku, a więc trzy lata po wejściu w życie nowych przepisów o obowiązku informowania o każdym przypadku pedofilii. I to właśnie jest teraz głównym zarzutem ze strony prokuratury wobec bp. Andrzeja Jeża.



Mimo iż liczni świadkowie, wpływowi urzędnicy kurialni, mówią o opóźnieniu trzyletnim, moim zdaniem ukrywali w swoich szeregach tego pedofila od kilku dziesięcioleci. To trzyletnie opóźnienie tłumaczą zaś tym, że tak długo trwały toczące się według zasad prawa kanonicznego procedury w tarnowskim sądzie biskupim. Po stwierdzeniu winy ks. Stanisława P. odesłano dokumentację jego sprawy do watykańskiej Dykasterii Nauki Wiary po dalsze instrukcje i sugestie, co wydłużyło procedurę o kolejny rok. Dopiero gdy Watykan potwierdził winę pedofila, tarnowska kuria powiadomiła o tym polskie organy ścigania. Tyle tylko, że polskie prawo karne nie przewiduje procedury, aby osoba, wiedząca o przestępstwie seksualnego wykorzystywania dzieci poniżej piętnastego roku życia, „konsultowała" ten fakt z urzędnikami obcego państwa. A Watykan – w rozumienia prawa polskiego – to obce państwo. I nie jest ważne czy dana osoba nosi sutannę czy habit.

Tajemnica ulotnej pamięci

Podczas jednej z rozpraw byłem świadkiem zeznań aż czterech sędziów tarnowskiego sądu biskupiego. Od lat budują oni swój wizerunek niezwykle kompetentnych prawników. To właśnie ci sędziowie orzekają chociażby we wszystkich sprawach sądowych o stwierdzeniu nieważności małżeństwa zawartego w Kościele. „Nieważności małżeństwa", gdyż żadnemu z kościelnych hipokrytów słowo rozwód nie przechodzi przez gardło. Wiemy, jak niezwykłe emocje w społeczeństwie budzą te sprawy, bo są nie tylko nietransparentne, ale także często orzekane wbrew logice, a także zwykłej ludzkiej przyzwoitości. Jakież było więc moje zdumienie, gdy ci sami sędziowie, stając tym razem po drugiej stronie na sali sądowej – za barierkami dla świadków – wypowiadali się nieskładnie, plątali w zeznaniach, dwóch mówiło tak cicho, że mimo iż siedziałem zaledwie dwa metry za nimi, trudno mi było cokolwiek usłyszeć. Największy jednak niesmak budził fakt, że zeznający świadkowie: ks. Jerzy Bednarz (rocznik 1972), ks. Bogdan Węgrzyn (rocznik 1968) czy ks. Dariusz Brzegowy (rocznik 1979), to stosunkowo młodzi ludzie, a wszyscy mieli problemy z pamięcią. Jedynie zeznający w tym dniu emerytowany już sędzia tarnowskiego sądu biskupiego ks. Edward Gabryel (rocznik 1946), a więc osiemdziesięciolatek, mówił głośno, dobitnie i nie wyglądał na kogoś, kto ma coś do ukrycia. Widać, że aby poprawić sobie pamięć i wyzbyć lęku, trzeba być emerytem i formalnie nie mieć niczego wspólnego z hierarchią kościelną.

Zeznający kościelni prawnicy powtórzyli wszystko to, co w poprzednich dniach procesu zeznali ich kościelni przełożeni: bp Andrzej Jeż, oskarżony w tym procesie i abp Wiktor Skworc, były ordynariusz tarnowski, a potem metropolita katowicki, obecnie emeryt. Otóż, wszyscy zrzucali odpowiedzialność za niedopełnione procedury kościelne w procesie kanonicznym na nieżyjących już księży, pracowników sądu biskupiego, w tym na ks. Henryka Kościsza (1955-2009). Dla kogoś takiego jak ja, uczestniczącego w tym procesie karnym od samego początku tylko jako obserwator, takie zgodne zeznania wszystkich świadków wyglądają na świadomą taktykę procesową, by nie użyć tu słowa „zmowa".

Niestety, nie doszło jeszcze do przesłuchania głównego świadka, byłego już kapłana ks. Stanisława P. To jego pedofilskie dewiacje (ale nie tylko jego) stały się powodem zarzutów stawianych biskupowi Jeżowi. W zaplanowanym na złożenie zeznań dniu, były już ksiądz, a świadek w tym procesie, początkowo uciekał na korytarzach sądowych przed mediami, a następnie rzekomo zasłabł i został wywieziony z budynku sądu. Do jego przesłuchania ma dojść podczas kolejnej rozprawy, którą sąd wyznaczył na 15 kwietnia.

Pasterz kobiet i dzieci

Proces tarnowskiego hierarchy jest pierwszym procesem karnym, gdzie na ławie oskarżonych zasiadł polski biskup, a akt oskarżenia dotyczy kościelnej pedofilii. Biskupowi nie zarzuca się pedofilii, ale jej ukrywanie przez trzy lata. Mimo to sam fakt, że ten proces się odbywa, jest już sam w sobie emocjonalny.

Oskarżony hierarcha, mimo ciążących na nim zarzutów, w Wielkim Tygodniu jak gdyby nigdy nic przyjmował w swojej rezydencji liczne reprezentacje organizacji związanych z tarnowską diecezją, stowarzyszeń katolickich, a nawet delegacje małych dzieci z przedszkoli i szkół katolickich. Pięknie ubrane dzieciaczki mówiły wyuczone wierszyki, wręczały swojemu biskupowi paczki z prezentami na święta. Towarzyszyły im rozanielone zakonnice, które czuły się zaszczycone, że mogą w tym przedświątecznym czasie ucałować dłoń swojego pasterza.

Podobnie zachowywały się także osoby świeckie reprezentujące swoje organizacje. W rezydencji biskupiej zorganizowano również specjalne spotkanie przedświąteczne dla wszystkich zgromadzeń zakonnych pracujących na terenie diecezji tarnowskiej. Były reprezentantki wszystkich wspólnot. Siostry zakonne składały swojemu pasterzowi życzenia, wręczały stroiki świąteczne i prezenty opakowane stosownie do nadchodzących świąt. Biskup się modlił, dziękował i błogosławił gości, wzywał ich do nawrócenia i wierności Kościołowi. Sielanka, jak gdyby tego procesu nie było.

Hipokryzja, zakłamanie, to od wieków niemal codzienność życia kościelnych hierarchów. Tak też jest podczas tarnowskiego procesu. Czy okaże się on procesem przełomu czy jedynie teatrem dla ludu, zobaczymy już wkrótce.

Andrzej Gerlach

FAKTY PO MITACH

TYGODNIK FAKTY PO MITACH
(INDEX 434000, ISSN 2719-5309)

Adres do korespondencji:
ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź
(biurowiec Tower Building)
sekretariat: tel. 501 258 385
w godz. 10.00-14.00
redakcja@faktypomitach.pl
listy@faktypomitach.pl
www.faktypomitach.pl
tygodnikfaktypomitach

Redaktor naczelny: J. Dariusz Cychol
Redaguje zespół: Anton Arbatow, Bożena Bednarek, Joanna Cyterska, Łukasz Czarnocki, Piotr Gadzinowski, Katarzyna Wilk-Wojtczak, Włodzimierz Galant, Andrzej Gerlach, Joanna Hańderek, Jakub Jabłoński, Wacław Jerzy Koniecpolski, Michał Kostur, Artur K. Lis, Krzysztof Lubczyński, Włodek Michalak, Tadeusz Nowak, Adam Papierniok, Bolesław Parma, Stefan Płonicki, Sławomir Sadowski, Joanna Senyszyn, Agnieszka Stefańska, Grzegorz Szokiński, Dorota Wróblewska.

Redakcja zastrzega sobie prawo do adiustacji i skracania tekstów. Nie zwracamy materiałów niezamówionych.
Wydawca:
„Mediator – Jan Dariusz Cychol"
ul. Pedagogiczna 22, 05-840 Brwinów
Regon: 141814816 NIP: 534 110 45 88
Dział kolportażu: kolportaz@faktypomitach.pl
Druk: ZPR MEDIA S.A.
ul. Jubilerska 10, 04-187 Warszawa

Dystrybucja: **Kolporter S.A., Garmond Press S.A.,**
Wersja online: **nexto.pl e-Kiosk.pl eGazety.pl eprasa.pl**
Prenumerata redakcyjna:
prenumerata@faktypomitach.pl
miesięczna – 44 zł (4 wydania)
II kwartał – 143 zł
„DO-CENT" sp. z o.o.
05-840 Brwinów, ul. Pedagogiczna 22
Nr konta: 32 1240 1242 1111 0000 1588 4921
Poczta Polska S.A.: sklep.poczta-polska.pl

eprasa.pl 9e8182a922



ZAORANE

Moniatycze

Mam nadzieję, że złodziej się opamięta. I uświadomi sobie, jak wiele zła uczynił. Naprawdę wierzę, że dobro jest silniejsze niż zło…" – zaapelował ks. Jan Semeniuk z parafii pw. Świętych Apostołów Piotra i Pawła, z której skradziono 100 tys. zł. Pieniądze miały być przeznaczona na renowację zabytkowych organów. Jak złodziej zdołał wejść na plebanię? Przez drzwi, których – jak wyznał lokalnemu tygodnikowi duchowny – nie zamknął na klucz. Wygląda więc, że zwykły zamek bywa skuteczniejszy niż najczystsza wiara w dobro.

Brzeg

Małe dzieci – mały kłopot, duże dzieci – duży kłopot. Nie tym razem. 15-miesięczny chłopiec, najwyraźniej znudzony zajęciami, postanowił urwać się ze żłobka. Dziecko zostało zauważone przez przechodnia, który odprowadził je do placówki. Nikt z personelu nie zorientował się, że chłopca nie ma. Cóż, rodzice wiedzą już, że mają dziecko z inicjatywą. Najwyraźniej rozwijaną poza proponowanym systemem opieki.

Częstochowa

Coroczne „badania kontrolne" przeszedł Jasnogórski Obraz Matki Bożej – tym razem bez konieczności „zastrzyków" i z bardzo dobrymi wynikami. Został osłuchany, skontrolowany komputerowo, a nawet przebrany w nową sukienkę. Wszystko pod czujnym okiem specjalistów i odpowiedniej ilości azotu, który – jak się okazuje – na poziomie technicznym skutecznie wspiera duchowość.

Bytom

Węże – jak wiemy z Biblii – od zawsze potrafiły poruszyć ludzką wyobraźnię. Na klatce schodowej jednego z bloków pojawiło się ogłoszenie: „Uciekł mi wąż boa". Mieszkańcy wpadli w panikę i zaalarmowali policję. Może powinni jednak wezwać egzorcystę? Wszystko okazało się… primaaprilisowym żartem.

Kraków

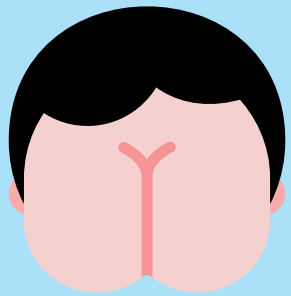
Rodzina zmusza Was do regularnych wizyt w kościele? 37-latek znalazł na to sposób. Przez kilka lat odwiedzał kościoły i szybko się wzbogacił. Nie chodziło jednak o żaden cud ani nawet o boże błogosławieństwo. Facet zamiast się modlić, opróżniał kościelne skarbony. Jego łupem padło 7 tys. zł. Sąd zakazał mu wstępu do miejsc kultu religijnego. I po sprawie.

Krasnystaw

Życie jest gówniane" – z takiego założenia wyszedł jeden z mieszkańców bloku przy ul. Piłsudskiego. Postanowił więc sprawić, by inni też zrozumieli tę maksymę. Codziennie rano wyrzucał na chodnik worki z… ludzkimi odchodami. Cóż, domorośli „filozofowie" zawsze byli niedoceniani…

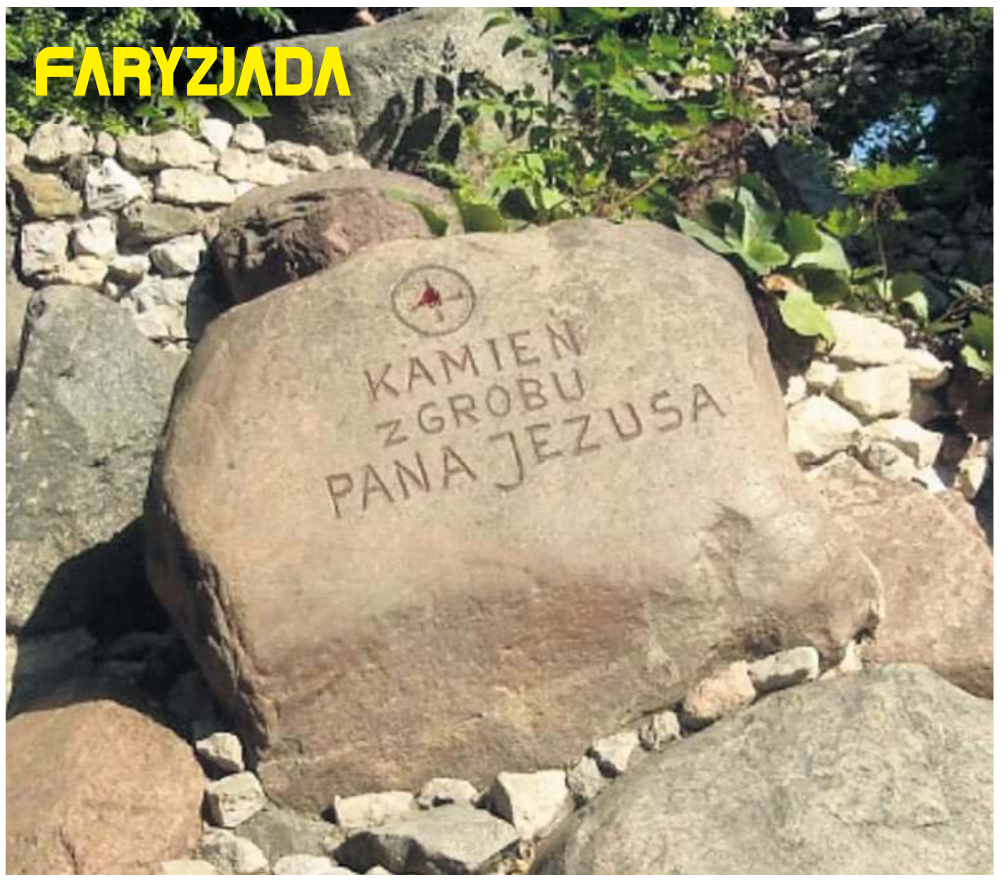
Z PiSiej pupy się wyrwało:

Politycy KO cieszą się z pożaru papieskiego krzyża. Nawet nie ukrywają wynarodowienia.



Maciej Wąsik
europoseł







„Krzyż jest symbolem naszej wiary. Krzyż przed kościołem Św. Maksymiliana Kolbe na warszawskim Mokotowie był również symbolem przełomu, jaki dokonał się w Polsce. (…) Dzisiaj, w Wielki Piątek, krzyż spłonął w niewyjaśnionych jak dotąd okolicznościach. Pomóżmy Parafii odbudować ten krzyż".

Mateusz Morawiecki, były premier

***

„Piękny widok".

Monika Kirschenstein, była działaczka i radna Koalicji Obywatelskiej

***

„Prawdopodobnie doszło do samozapłonu przez stojące obok znicze".

Jakub Filipiak, policjant

***

„W Warszawie w Wielki Piątek, w trakcie Mszy Świętej, płonie Krzyż. Takie mamy efekty zła, które przejawia się nienawiścią wobec Kościoła katolickiego. Ktoś wierzy w samozapłon?".

Łukasz Kolada, polityk Konfederacji

***

„Analiza śladów pożarowych wskazuje na umyślne podpalenie Krzyża Papieskiego (…). Charakter spalania sugeruje wprowadzenie do wnętrza konstrukcji cieczy łatwopalnej i jej zapalenie. (…) Dowodem jest równomierne zwęglenie elementów ścianek od strony dolnej części podstawy oraz widoczne wewnątrz konstrukcji, przy jej podstawie, ślady oddziaływania płomieni. Znicze ustawione przy zewnętrznych ściankach pozostały nienaruszone, co wskazuje, że nie stanowiły źródła zapłonu. Jednocześnie podkreślam, że poszycie krzyża wykonane jest z blachy, a nie z desek".

Antoni Macierewicz, były szef MON

***

„Apostoł smoleńskiego kłamstwa zabiera się za krzyż… Znowu zaczną się parówki, puszki i etaciki dla szarlatanów".

Marcin Kierwiński, szef MSWiA

***

„Dziś wyśmiewa się samą myśl, że ktoś mógł celowo podpalić symboliczny krzyż w Warszawie (…) Trzeba czekać na ustalenia służb, ale ktoś się dziwi na te pytania? (…) Zwłaszcza w chwili, gdy świat obiega informacja, że ISIS w swojej propagandzie wzywa do podpalania kościołów i synagog w Europie i USA. A banda lewackich imbecyli u sterów władzy w Europie wpuściła do nas miliony islamistów bez jakiejkolwiek weryfikacji".

Dariusz Matecki, poseł PiS

***

„Krzyż zostanie odbudowany".

Andrzej Krzesiński, proboszcz parafii pw. św. M. Kolbego

***

„Drodzy Rodacy, Szanowni Państwo! Chrystus zmartwychwstał i żyje!".

Karol Nawrocki, prezydent RP

Opr. J.D.C.

eprasa.pl 9e8182a922